

23, rue Taitbout
PARIS (IX)

CENA
PRIX 0,60 F.

4 WRZEŚNIA 1966
SEPTEMBRE

Nr 36 (464)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE



„NA WIŚLANEJ TARCZY” z cyklu „Początek na Westerplatte” - str. 6, 7 i 8
„BOGUCHWAŁA WIEŚ SZCZĘŚLIWA” - str. 11

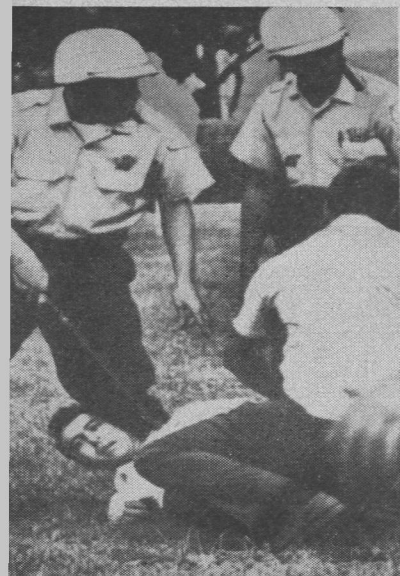
Polak z Anglii, pan Aleksander Woźniak, postanowił dla uczczenia Tysiąclecia przebyć na skonstruowanych przez siebie nartach wodnych 1000 km po Wiśle. Piszemy o tym obszernie na stronie 5 w artykule „Wpływ przez Ren i na nartach po Wiśle” zilustrowanym oryginalnymi zdjęciami z tej wyprawy



USA są widownią starc Murzynów, domagających się zniesienia segregacji rasowej, z licznymi grupami białych rasistów czynnie i niejednokrotnie z bronią w ręku występujących przeciw każdemu, kto zwalcza haniebną segregację. Ostatnio starcia takie miały miejsce w Chicago (patrz zdjęcie po lewej i poniżej)



Jedną z największych atrakcji turystycznych w Moskwie jest olbrzymi dzwon wagi 200 ton odlany przez rosyjskich ludwisarzy w 1735 r. Stoi on na dziedzińcu pałacu Kremłowskiego



▲ Le sud des Etats-Unis n'a plus le triste privilège des affrontements raciaux. Face à l'opposition souvent criminelle des racistes, les Noirs combattent pour leur égalité de droits. Dernièrement des échauffourées avec la police se sont déroulées à Chicago.

▲ Dans la cour du Kremlin, une des attractions est une énorme cloche coulée en 1735. Son poids de 200 tonnes n'avait pas alors permis de la hisser au sommet de la tour prévue pour la loger.

▲ Cassius Clay (ou Mohamed Ali pour lui donner le nom qu'il a depuis peu) a beau faire le pitre, il n'en reste pas moins un des meilleurs poids lourds de l'histoire de la boxe.

▲ Pendant les spectacles donnés par „Le Grand Music-Hall de Varsovie” à l'Olympia, les mannequins présentant la mode polonaise ont eu aussi leur part

de succès. Les voici en costumes „folkloriques” à la présentation de la collection d'hiver de Ted Lapidus.

▲ Un canoë-tente pneumatique, utilisable sur l'eau et à terre, voici le dernier cri de la mode tourisme-camping.

▲ Sur les plages britanniques on a pratiqué cet été un nouveau jeu: le lancer de disques en plastique à la manière d'un boomerang.

▲ Les cheveux longs et les barbes hirsutes n'attirent plus l'attention. Mais voir un „peintre des trottoirs” en tenue de soirée impeccable... C'est Marino Menciaer qui a ainsi stupéfié les habitants de Copenhague.

▲ Jayne Mansfield, a divorcé pour la troisième fois. Après Paul Mansfield, Mickey Hargitay, Thomas Ottaviano est le troisième délaissé. Jayne demande maintenant conseil à son seul ami quant à son futur...

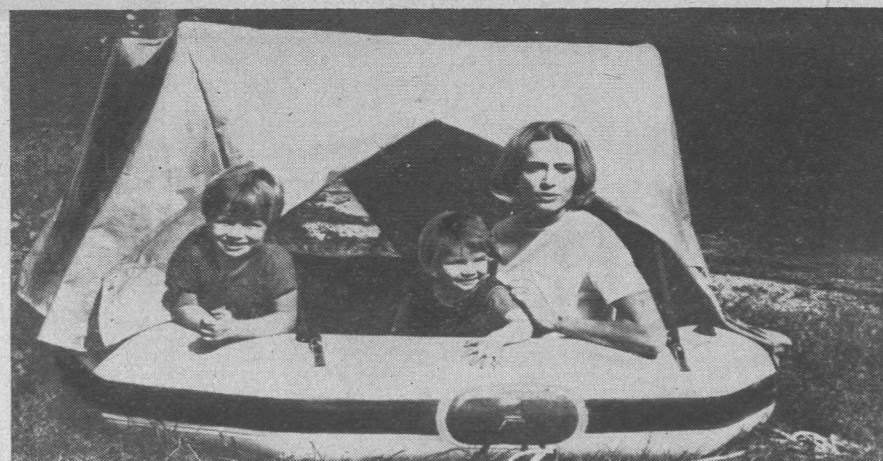


Podczas występów „Music-Hall de Varsovie” w paryskiej „Olympii” odbyło się kilka spotkań polskich modelek z przedstawicielami świata mody. Między innymi Ted Lapidus zaprezentował Polkom swoją najnowszą kolekcję „Zima 66/67”. Modelki polskie wystąpiły na pokazie w strojach ludowych (powyżej)



Cassius Clay broni z pełnym powodzeniem tytułu mistrza świata wagi ciężkiej. Po jednym z takich piorunujących ciosów jego rywal Anglik Brian London został znokautowany

Na plażach brytyjskich lansowane jest rzucanie jak bumerangiem plastikowymi krążkami



Nowym osiągnięciem w dziedzinie uniwersalnego sprzętu turystyczno-campingowego jest francuska nadmuchiwana łódź z namiotem, którą złożyć można doskonale zarówno na lądzie, jak i na wodzie



Zobojętniała już na długowłosych ekscentryków i zaniedbanych młodzieńców Kopenhagę wprowadził w zdumienie młody człowiek, zajmujący się modnym ostatnio „malarstwem chodnikowym”. 26-letni Marino Menciaer malował ubrany w nienaganny czarny garnitur ozdobiony czerwonym goździkiem, a wykwintność jego stroju podkreślał lśniący cylinder

Zdjęcia:
CAF
i „KEYSTONE”

Jayne Mansfield rozwiodła się po raz trzeci. Po Paulu Mansfield i Mickey Hargitayu (słynnym Mister Universum) także włoski reżyser Thomas Ottaviano nie zadowolili Jayne. Skarży się więc swemu jedynemu wiernemu przyjacielowi i pyta: czy czwartym mężem będzie dobry?



Na lotnisku są reporterzy z lyońskiej prasy i radia. Są rodzice i dużo osób ciekawych. Wydarzenie jest niecodzienne: samolot Polskich Linii Lotniczych „LOT” przywozi dziś z Warszawy grupę 85 dzieci Polonii, które spędziły miesiąc wakacji w Kraju. Wyjazdy na kolonie letnie w Polsce odbywają się od wielu lat i ludzie są do tego już od dawna przyzwyczajeni, ale uruchomienie bezpośredniego samolotu Warszawa—Lyon, dla zapewnienia większej wygody dzieciom z tego okręgu jest nowością wprowadzoną przez PLL „LOT” w tym roku po raz pierwszy.



RADOSNY POWRÓT DO LYONU

W SRÓD OCZEKUJĄCYCH niecierpliwie na przyłot dzieci innych. Zasięg działania urzędu konsularnego w Lyonie, który przyjmował zgłoszenia dzieci na kolonie, jest tak rozległy, że dzisiaj znajdują się na lotnisku Lyon-Bron dzieci Polonii niemal z połowy obszaru Francji: z Lyonu i okolic, z górniczych kolonii Montceau-les-Mines, Montchanin, z okolic Clermont-Ferrand i Montluçon, z alpejskiej Grenoble, z Tulonu, Nicei i Wybrzeża Lazurów, z Bourges, Saint-Etienne i innych miast środkowej Francji, z Dijon i z całej Burgundii.

Stęsknieni za swymi pociechami rodzice dzielą się z sobą wiadomościami, jakie otrzymywali z Polski, podchodzą do p. wicekonsula Majewskiego, aby mu wyrazić wdzięczność i radość, że ich dzieci spędzają wakacje w Polsce. Lawiną pytań zasypywani są pracownicy portu lotniczego: czy samolot przyleci punktualnie... czy nie przeszkodzi mu burza, która się dzisiaj rano rozszalała nad Lyonem, itp.

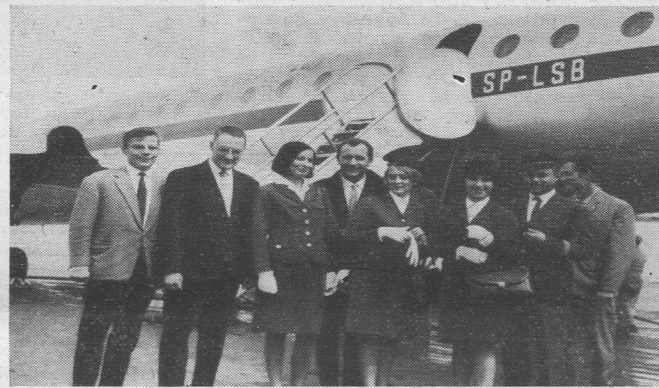
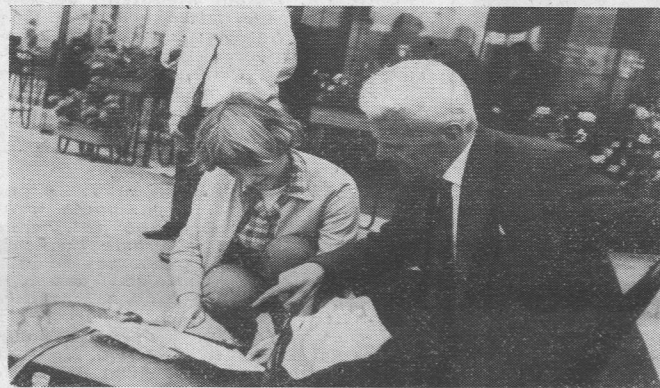
Niebo rzeczywiście wygląda groźnie. Po paru dniach nieznośnego upału pokryło się ono ciemnymi chmurami. Drobną deszcz mży nieustannie. Nie jest to jednak żadną przeszkodą dla wielkiego samolotu. Olbrzymi IL-18 Polskich Linii Lotniczych wylania się z mgieł i ląduje na pasie lotniska. Do otwierających się drzwi kadłuba podjeżdżają schodki i po chwili dzieciarnia wysypuje się ze środka.

— *Comment avez-vous passé votre temps en Pologne? Avez-vous fait la connaissance de la jeunesse polonaise? Est-ce que c'était bien? Voulez-vous y retourner encore?* — reporter ORTF z mikrofonem w ręku wypytuje o wrażenia *Anne-Marie Jakubowską* z Saint-Etienne.

Dziewczynka ma dopiero 15 lat, ale nie peszy jej ani prasa, ani radio. Odpowiada z pewnością siebie: było dobrze, bardzo dobrze. Polska podoba jej się bardzo i chętnie wróci tam znów na przyszły rok. A z młodzieżą polską zawarła wiele miłych znajomości i nawiaże korespondencję z kilkoma nowo poznanymi koleżankami.

Staszek Blicharz i *Arletka Dolata* opowiadają co widzieli w Polsce: Gdańsk, Kraków, Lublin, Kazimierz nad Wisłą. Byli na różnych koloniach: Arletka w Miedzyszynie, Staszek — na Saskiej Kępie. No i teraz zawiozą do swych domów pod Lyonem i Saint-Etienne najświeższe wrażenia zbierane przez miesiąc w Polsce.

Jest i *Krysia Goleczyńska* — laureatka I nagrody konkursu na wspomnienia z wakacji w Polsce. Mówi doskonale po polsku i bardzo ładnie po polsku pisze. Nie czeka powrotu do domu



Grupa chłopców z Montceau-les-Mines po wylądowaniu w Lyonie ma wyraźnie zadowolone miny. Zarówno pobyt w Polsce, jak i powietrzna podróż, dostarczyły wielu wrażeń, przyjemności i nowych przyjaźni. Poniżej z lewej: *Krysia Goleczyńska* nie czeka na powrót do domu i od razu przekazuje ojcu książki przywiezione dla niego z Polski. Obok delegacja Stowarzyszenia Kulturalnego, która witała dzieci, na wspólnym zdjęciu z załogą polskiego samolotu

W 20 dni wokół świata

**15-letnia Ania Domańska
Czytelniczka Tygodnika Polskiego
w podróży dookoła globu**

◆ *Pozdrowienia z egzotycznych krajów* ◆ *Pierścienek i jedwab* ◆ *Kąpiel w... oliwie* ◆ *Jazda na wielbłądzie*

W nr. 2 (430) „Tygodnika” pisaliśmy już, że nasza młoda Czytelniczka z Paryża, Ania Domańska, wygrała w konkursie zorganizowanym przez miesięcznik „FORMIDABLE” podróż dookoła świata. Przed odlotem obiecała, że będzie przysyłała z ciekawszych etapów podróży karty pocztowe do „Tygodnika”. Trasa tej niezwyklej podróży naszej 15-letniej Czytelniczki biegnie z Paryża-Orly przez Teheran (Iran), New Delhi, Agra i Jaipur (Indie), Bangkok (Thailandia), Singapour, Noumea i Papeete (Polinezja), Los Angeles, Las Vegas, San Francisco (Stany Zjednoczone) i stąd do Paryża.

Z Agra otrzymaliśmy kartę następującej treści:

„Kochany Tygodniku,

W sobotę rozpoczął moją podróż dookoła świata. W dwadzieścia dni mam opasać kulę ziemską. Jestem teraz w Agrze, gdzie zwiedziłam biały Taj Mahal z marmuru i czerwony Fort — prawdziwe koronki kamienne. Kupiłam sobie pierścienek ze słynnymi kamieniami z Indii i parę metrów kolorowego jedwabiu na sukienkę.

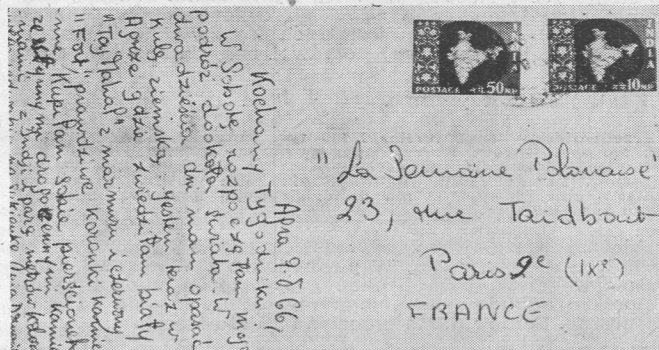
New Delhi to najprzyjemniejsze miasto jakie dotychczas widziałam. Pogoda, gdy je zwiedziłam, była nadzwyczajna, hotel wspaniały, ludzie sympatyczni niezwykle. Chciałabym tu pozostać jak najdłużej. Teraz leje deszcz i jest mniej gorąco, tak że nie mam już tego wrażenia, że się kąpiel w letniej oliwie.

Na nieszczęście aparat zaczął nawalać.”

W dwa dni później nadeszła jeszcze jedna kartka tym razem z Jaipur:

„Kochany Tygodniku,

Dzisiaj zwiedziłam miasto opuszczone przez ludzi z powodu braku wody (Fatehpur Sikri). Zostało ono zbudowa-



ne przez *Shal Jahan* w miejscu, gdzie bardzo pobożny człowiek *Salim Christi* przepowiadał mu urodzenie syna.

Po południu przejechałam się na sioniu do świątyni hinduskiej w Amber (10 km od Jaipur). Jest to bardzo malownicze miejsce, położone na wzgórzu i otoczone różowymi pałacami.

Niedługo będę w Bangkoku.

Pozdrawiam Redakcję i wszystkich Czytelników.

Ania Domańska”

Czekamy na dalsze kartki z dalekiego świata od miłej Czytelniczki.

RADOSNY POWRÓT DO LYONU

Dokończenie ze str. 3

i tutaj, na dworze, otwiera walizki, aby wręczyć ojcu przywiezione specjalnie dla niego ilustrowane książki o Kraju.

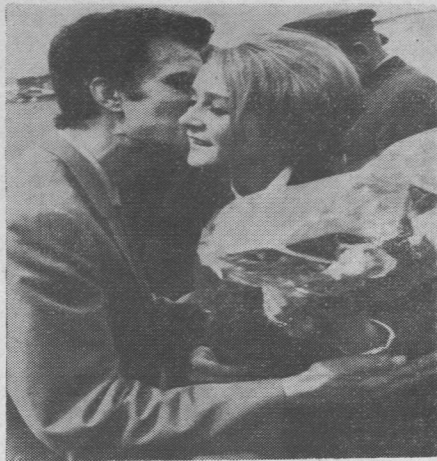
Eveline Kucharska z Nicei i Genia Zelechowska z Saint-Eloy-les-Mines nie mogą się rozstać. Zaprzyjaźniły się serdecznie na koloniach i umawiają się, że na przyszły rok znów tam pojedą.

Niektóre dzieci zdumiewają swych rodziców postęпами, jakie uczyniły w języku polskim przez tych parę tygodni wakacji. Same dzieci stwierdziły to również i są z tego ogromnie dumne.

W czasie gdy odbywają się wzruszające momenty powitania, delegacja Association Culturelle Franco-Polonaise z p. prezesem André Simiand na czele podchodzi do samolotu. Krótka rozmowa z kapitanem p. Wiesławem Wiszniewskim i członkami załogi, podziękowania, kwiaty. Wręcza je p. Lutek Garbacz milutkiej stewardessie „LOT-u” p. Jolancie Błońskiej.

Lotnisko pustoszeje teraz szybko. Dzieci odjeżdżają do domów, niektóre samochodami z rodzicami, inne na dworzec kolejowy lub autokarami. Odlatuje też polski IL-18 żegnany serdecznym uczuciem wdzięczności całej Polonii lyońskiej.

Do zobaczenia! Do przyszłego roku! — wołają dzieci machając chusteczkami w stronę odlatującego samolotu.



Stewardessa LOT-u Jolanta Błońska, otrzymała kwiaty i serdeczne podziękowania dla całej załogi samolotu



„Comment avez-vous passé votre temps en Pologne?” — zapytuje Anne-Marie Jakubowska reporter z ORTF

ECHA z 1940 roku i UROCZYSTOŚCI w THOUARS w 1966

(DOKUMENT NAOCZNEGO ŚWIADKA)

W nr 30 (458) naszego pisma zamieściliśmy sprawozdanie z uroczystości odsłonięcia pomnika ku czci oficerów Armii Polskiej, która odbyła się w Thouars (dep. Deux-Sèvres). Materiał nasz wywołał echo po drugiej stronie Kanału. Pan Eugeniusz Turski z Londynu, oficer polski, który w tragicznych dniach czerwca 1940 r. znajdował się w Thouars, nadesłał nam list zawierający szczegóły związane ze śmiercią oraz identyfikacją poległych Polaków i Francuzów.

Dziękujemy serdecznie za list i słowa uznania wyrażone przez p. Turskiego i zamieszczamy go poniżej w całości.

Szanowny Panie Redaktorze!

Paryski „Tygodnik Polski”, podaje fragmenty pięknej uroczystości odsłonięcia pomnika pamięci polskich oficerów-saperów, zabitych niemiecką bombą 18 czerwca 1940 r. na stacji kolejowej w Thouars.

Pamiętam. Byłem niedaleko od wybuchu bomby, i, o dziwo, ocalałem. Gdy ruszałem do Saintes, zupełnie niespodziewanie i nieoczekiwanie płk. Stefczyk, któremu podlegałem w sztabie M.S.Wojsk. polecił mi zaopiekować się przedmiotami osobistymi po zabitych. Różni ludzie przynosili mi przedmioty

pokrwawione, lepkie od niezastygłej krwi. Owiązałem je, dla każdego oficera oddzielnie, w kawałki pokrwawionych koszul i jakieś spore koperty, nie licząc i nie sprawdzając, wkładałem do worka, który zawiązałem i zalakowałem. Czasu nie było — odwrót w pełni. Jednak w tych trudnych warunkach, gdy każdy myślał o ratowaniu własnego życia i niedostaniu się do niewoli, „worek” przywoziłem aż do Londynu. Tu, zameldowałem się gen. Sikorskiemu, który w porozumieniu z gen. Kukielem powołał komisję otwarcia worka. Dnia 12 lipca 1940 r. komisja w składzie: ppłk Leski, rtm. Messing i kpt. Turski, otworzyła worek, powymowała pokrwawione zawiniątka i protokołarnie ustaliła co i do kogo należą. Wlg zawartości zawiniątek ustalono nazwiska zabitych:

ppor. Kania Stanisław
ppor. Górka Ryszard
mjr Leszka Bolesław
mjr Firlejczyk Michał
ppor. Jasiński Jerzy
mjr Derejski Stanisław
kpt. Monasterski Stefan
ppor. Przysła Edmund
mjr Forys Tadeusz
por. Grzonka Franciszek
por. Chacia Wiktor
ppor. Bańko Franciszek
ppor. Nowak Edmund-Ziemowid
kpt. Oborski Artur
ppor. Furga Czesław
kpt. Zukowski Stanisław
ppor. Kaczyński Jerzy
ppor. Zawistowski Wacław
kpt. Kubisz Kazimierz
ppor. Czerny Władysław-Jan
kpt. Jeżewski Zygmunt
ppłk Szydłowski Walenty
ppłk Monkiewicz Jan-Edmund
kpt. Morawski Jan
... Neyme Jean, Francuz
... nieznanzy Francuz.

Razem 24 Polaków i 2 Francuzów. W notatkach z tego okresu mam zaznaczone, że zabitych i ciężko rannych było 34 oficerów. Dnia 21 lipca 1940 r. wszystkie przedmioty przekazano protokołarnie konsulowi gen. R.P. w Londynie dla doreczenia spadkobiercom.

Obecnie przeglądałem posiadane kopie protokołów zdawczo-odbiorczych i przy nazwiskach znajduję adnotacje:

- mjr Lejsza — przedmioty uszkodzone odłamkiem bomby,
- mjr Derejski — spis rzeczy pozostawionych w Thouars u p. Sarasin, 19, Blvd Thiers,
- ppor. Furga — matka Janina w Warszawie,
- ppor. Czerny — kwity na pożyczone płk. Orskiemu dol. am. 100, i dol. kan. 50, oraz kwit na pożyczone dr Kurzei dol. kan. 30,
- ppor. Grzonka — świadectwo uszkodzone odłamkiem bomby,
- Francuz Neyme — 2 legitymacje francuskie,
- nieznanzy Francuz — koperty z adresami: Mme Wissocque, Paris, 30 rue Stephenson.

Przy okazji podania tych szczegółów, jest mi niezmiernie miło wspomnieć, iż wówczas, w czasie naporu Niemców i zbiorowego odrotu niełatwo i niełatwo było dźwigać na własnych plecach przedmioty osobiste po zabitych Polakach i Francuzach. Cieszę się jednak, iż przyczyniłem się do uratowania przedmiotów, które dla rodzin stanowią wartość pamiątkową.

Całym sercem przyłączam się do hołdu oddanego Poległym o czym tak poważnie pisze „Tygodnik”.

Z poważaniem

(—) Eugeniusz Turski
20, Romney Court
LONDON W. 12.

Londyn, 29 lipca 1966 r.

*

(Przy okazji przypominamy, że o wzniesienie pomnika w Thouars i uporządkowanie grobów polskich oficerów wspominał się „Tygodnik Polski” energicznie od dawna (patrz nr 5/329 naszego pisma).

CZYTELNICY PISZA

„ON A BIEN PIVOTE”

Wracając z miesięcznego pobytu na „wczasach” w Kraju miałem możliwość rozmawiać z paroma francuskimi kombatanami powracającymi z 12 dniowej wycieczki po Polsce. Są to byli jeńcy, którzy przebywali w obozach w okolicach Krakowa. (Na zaproszenie Polskiego Związku Kombatanów ZBoWiD — przyp. red.). Grupa około

260 osób z całej Francji zwiedziła miejscą swej niewoli w okresie wojny pod Krakowem oraz szereg miast w Polsce — Warszawę, Kraków, Katowice, Częstochowę. Są zachwyceni wszystkim tym co widzieli w Polsce, a w szczególności gigantyczną i planową odbudowę Warszawy, oraz wspaniałymi ogrodami i wesołym miasteczkiem pod Katowicami. Byli mile zdziwieni, że robotnik po znużonej pracy w fabryce ma tak przyjemne warunki wypoczynku.

Wycieczki odbywali autobusami

„Orbisu”. Wszystko było przewidziane i wszystko na czas. Organizacja wzorowa. Jedzenie dobre (bo to ważne również). Artykuły w prasie krakowskiej ukazały się na pierwszej stronie. Na uroczystości w miejscu dawnego obozu przybyło masę osób z Krakowa i okolic. Wzruszenia i wspomnienia. Rozpoznawali osoby, które ich dożywały (pod karą) w obozach. No i to piwo, jeszcze nigdy tak dużo piwa nie wypili i dlatego zaczęli rozmowę od zdania „on a bien pivote”.

Z. Golczyński — Grenoble

O CZYM A EMIGRANTA

KRAKÓW jest miastem, które z licznych wojen na przestrzeni tysiąclecia, jeżeli chodzi o architekturę i zabudowę, wychodziło na ogół bez większych strat. Również w ostatniej wojnie, chociaż front przesuwał się przez jego ulice i mury dwukrotnie, ofiarą bezpośrednich działań padło zaledwie kilka kamienic i mosty na Wiśle. Nie trzeba więc było Krakowa odbudowywać, jak Warszawy, Wrocławia, Gdańska, Opola, Kołobrzegu, Gorzowa, Nysy i jeszcze kilkadziesiąt innych miast polskich, które legły w gruzach.

A jednak od czasu zakończenia drugiej wojny Kraków bardzo się zmienił. I nie tylko dlatego, że na jego przedpolu wyrósł największy przemysłowy zakład polski a w jego cieniu 100-tysięczna dzielnica Nowa Huta. Jeden z emigrantów obejrząwszy Kraków po ćwierćwiekowej przerwie obliczył, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu zbudowano w Krakowie więcej domów i mieszkań niż w ciągu całego tysiąclecia.

I tak jest rzeczywiście.

Przedwojenny Kraków liczył 219 tys. ludności, a dziś ma ich ok. 530 tys. Oprócz Nowej Huty powstały w nim jeszcze inne dzielnice, piękne i nowoczesne; rozrósł się, stał się wielkim centrum. Przedwojenna nazwa, jaką mu złośliwi przydawali „miasto emerytów”, nie ma do dzisiejszego Krakowa najmniejszego zastosowania.

Ale tej wielkiej zmiany w życiu Krakowa prawie się w Polsce nie dostrzega. W porównaniu z Warszawą, gdzie najpierw trzeba było usunąć gruzy, teren uporządkować i dopiero odbudowywać, jego rozrost uważa się za rzecz naturalną. Samo miasto przecież istniało i ocalało.

Kraków jest tu tylko przykładem. W Polsce dokonano ogromnie wiele rzeczy, których ludzie stale tam mieszkający, wcale nie zauważają. Tak się bowiem z nimi żyli. I stąd Polak mieszkający za granicą dostrzega w Polsce więcej niż miejscowi, gdyż w jego wyobraźni zachował się bardziej dokładnie obraz kraju sprzed laty.

Nikogo np. w Polsce nie dziwi, że na głównych, a także na wielu podmiejskich trasach kolejowych, podróżuje się szybciej i wygodnie dzięki temu, że trasy te zostały zelektryfikowane. A jeszcze w 1955 roku, jedynie warszawski węzeł kolei podmiejskich był objęty siecią elektryczną, którą zresztą trzeba było po wojnie odbudować niemal od podstaw. Do Katowic, Krakowa, Opola, Wrocławia, Poznania i granicy państwa z Czechosłowacją, jedzie się ze stolicy pociągami elektrycznymi. Podobnie z Kra-

kowa na Śląsk — do Katowic, Bielska, Opola i Wrocławia oraz w drugą stronę do Przemysła. Cała sieć podmiejska Krakowa i węzeł katowicki — jeden z najgęstszych w Europie są zelektryfikowane, zaś podmiejska sieć warszawska została znacznie poszerzona. Jeszcze kilka lat — a kolej parowa ograniczy się w Polsce do mało znaczących linii prowincjonalnych i stanie się atrakcją turystyczną, jako zabytek z XIX wieku.

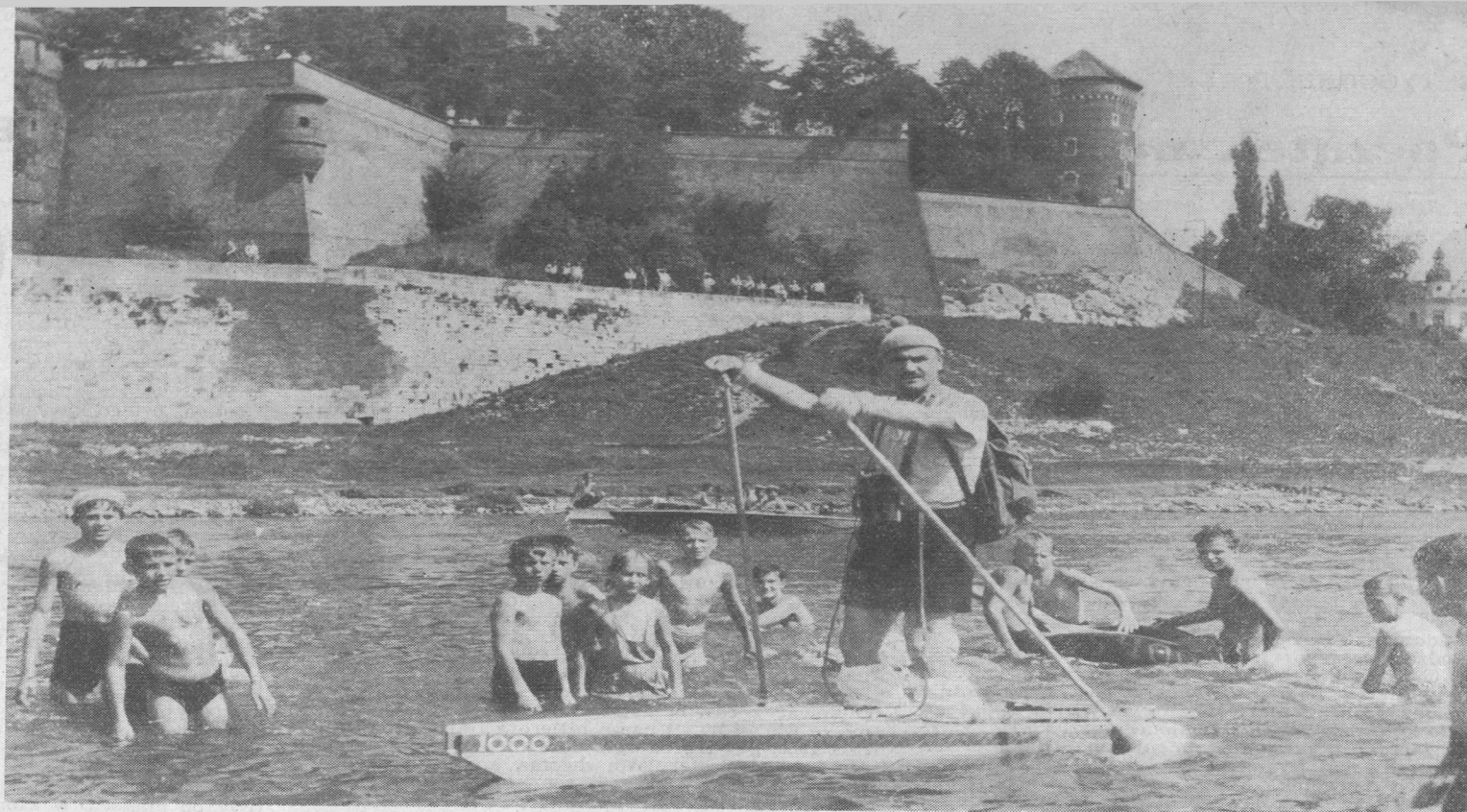
Komunikacyjne przemiany nie kończą się zresztą na zelektryfikowaniu kolei. Tam gdzie linie kolejowe nie dochodzą, niewiele jest już dzisiaj w Polsce miejscowości, które by nie miały połączeń ze światem regularnie kursującymi autobusami. Nieraz do zupełnie zapadłych dziur dochodzą autobusy. Nie trzeba przekonywać, że takie usprawnienia i zmiany, wymagały rozbudowy i unowocześnienia sieci drogowej.

Innym mało dostrzegalnym osiągnięciem jest zabezpieczenie całych połaci kraju przed klęską powodzi. Wprawdzie program budowy urządzeń wodnych — zbiorników i kanałów zakrojony jest na szeroką skalę i wymaga jeszcze wielu lat pracy, ale w ciągu ostatniego okresu niemało już zrobiono. Najpierw wykończono rozpoczętą przed wojną budowę zbiorników wodnych na Dunajcu w rejonie Rożnowa i Czchowa, doprowadzono do uporządkowania sprawy wodne na Żuławach, gdzie Niemcy uchodząc, zniszczyli wszystkie urządzenia, odbudowano wysadzone tamy i naprawiono zbiorniki na ziemiach zachodnich a z kolei zbudowano m.in.: zapórę na Wiśle i olbrzymi zbiornik w Goczałkowicach na Śląsku, w Dębie na Bugonarwi pod Warszawą, w Solince na Sanie, w Treśnie na Sole, oraz kilka kanałów, a w przygotowaniu jest budowa jeszcze jednego zbiornika na Dunajcu w rejonie Piennin, stopnia wodnego na Wiśle poniżej Włocławka i jeszcze kilku innych. W różnych stronach kraju powstały i powstają w ten sposób olbrzymie jeziora o doniosłym znaczeniu dla gospodarki i ludności.

Zmienia się więc krajobraz Polski. Z roku na rok staje się on bogatszy i ciekawszy. Nowe miasta i nowe przemysły, nowe zagłębia górnicze w biednych dawniej okolicach, które uważano za pokrzywdzone przez przyrodę, przekształcone i murowane wsie, niemal wszędzie nowe szkoły, boiska sportowe, coraz gęściejsza sieć dobrych dróg, maszty wysokiego napięcia dostarczające energię dla techniki, pracy i przyjemności, nowe „morza”, jak ludność nazywa jeziora powstałe ze sztucznego spiętrzenia wód — to tylko część tego, co składa się na obraz nowej Polski, a co dostrzegli wszyscy ci, którzy w tym roku odwiedzili Stary Kraj.

C' était un spectacle peu ordinaire. Sur des skis nautiques de sa conception, M. Aleksander Woźniak — Polonais domicilié à Londres — accomplissait sur la Vistule les 520 km du trajet Oświęcim (Auschwitz)-Varsovie, accompagné d'une flotille de kayaks où pagayaient ses deux plus jeunes fils, les jumeaux Ryszard et Filip âgés de dix ans, ainsi que dix jeunes éclaireurs polonais. Mais faute de temps, il manquait encore à M. Woźniak 480 km, pour réaliser son voeu — franchir mille kilomètres pour le Millénaire de la Pologne. Il les accomplira donc à son retour en Angleterre, sur la Tamise, la Mersey et la Tyne...

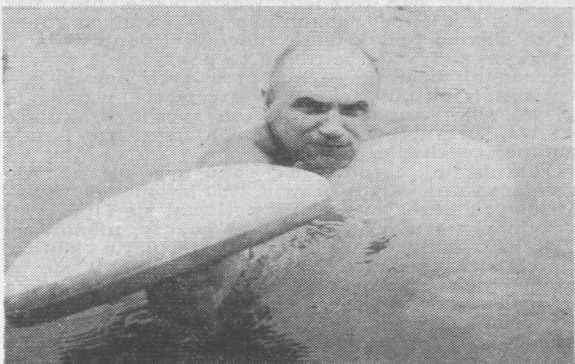
M. Woźniak doit déjà la vie à sa passion pour le sport et les disciplines nautiques en particulier. Prisonnier en Allemagne, il réussit à s'échapper en franchissant plusieurs kilomètres à la nage dans le Rhin et le lac de Constance pour gagner ensuite la France, l'Angleterre et s'engager dans l'aviation polonaise.



„Płynię Wisła, płynię po polskiej krainie, zobaczyła Kraków, pewno go nie minię”. I p. A. Woźniak nie minął starej stolicy — Krakowa



„Grzybek” to wynalazek naszego Rodaka z Londynu



Połączone „grzybki” mogą znaleźć także zastosowanie w lecznictwie podczas kąpieli w sanatorium

Takie narty są lekkie i łatwe do transportu



WPŁAW PRZEZ REN 1944 NA NARTACH PO WIŚLE 1966

ALEKSANDER WOŹNIAK przyjechał do Kraju na wakacje wraz z czterema synami: bliźniakami (po 10 lat) Ryszardem i Filipem oraz starszymi nieco Krzysztofem (14 l.) i Karolem (16 l.). Starsi chłopcy byli na obozie harcerskim „Polonii” w górskim schronisku „Orzeł”, a młodzi odbyli z ojcem wspaniałą wodną wędrowkę po falach Wisły.

Było to wielkie przeżycie. Aleksander Woźniak — dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego — postanowił przebyć Wisłą 1000 km na nartach wodnych swojej konstrukcji.

Rozpoczął od Oświęcimia. Dzielnemu Rodakowi towarzyszyli jako ubezpieczenie na kajaku jego dwaj synowie Filip i Ryszard oraz 10 harcerzy z warszawskiego hufca wodnego „Bobry”.

Wodna kawalkada bez większych przygód przebyła 520 kilometrów i po 9 dniach dotarła do Warszawy. Niestety, wtedy kończył się p. Woźniakowi urlop... Nie zrezygnował jednak z wypełnienia podjętego zobowiązania. Do zaplanowanego przebycia na nartach wodnych zabrakło mu jeszcze 480 km. Zaraz po powrocie z Kraju do Londynu odbędzie więc wędrowkę po trzech rzekach Wielkiej Brytanii: Tamizie, Mersey i Tyne, aby uzupełnić owe 480 km.

Za piękny sportowo-turystyczny wyczyn na Wiśle Aleksander Woźniak i jego dwaj chłopcy otrzymali odznaki Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Ojciec otrzymał złotą odznakę PTTK, a Filip i Ryszard — odznaki brązowe.

Aleksander Woźniak wychował się w Warszawie, tu skończył gimnazjum i zdobył zawód mechanika. Był wysportowany. Grał w szkole doskonale w piłkę nożną, biegał i oczywiście pływał. Podczas wojny pracował w organizacji podziemnej. W chwili wybuchu II wojny światowej miał 19 lat.

Zesłany przez hitlerowców na przymusowe roboty do Niemiec, niedaleko granicy szwajcarskiej, postanowił uciec z obozu. Swoje sensacyjne przygody z tego czasu streścił on w następujących słowach:

„Každy szczegół ucieczki pamiętam jakby to było dziś. W cywilnym ubraniu dotarłem mimo kontroli w pociągu do miasteczka Stein-am-Rein niedaleko Jeziora Bodeńskiego. Przez trzy dni i cztery noce byłem w pasie granicznym, gdzie stałe chodziły patrole z psami. W dzień siedziałem na drzewach, w nocy leżałem w bagnie i szuwarach rozlewiska Renu, wykorzystując każdą sposobność, aby jeszcze bardziej zbliżyć się do granicy. W lesie Niemcy układali stopy chrustu i nawet każde stąpnięcie sarny lub zająca rozlegało się w ciszy nocnej jak wystrzał.

Byłem już nieludzko zmordowany, brudny, głodny. Pewnej nocy, gdy leżałem ukryty w szlamie rzeki, tuż obok przeszedł patrol z psem. Pies wyczuł obcego. Zaczął się szarpać w bok, ale strażnik rozmawiając z drugim, nie zwrócił na to uwagi. Poszli dalej. Byłem uratowany.

Nadeszła kolejna noc. Księżyc został zupełnie zasłonięty przez chmury. Natrafiłem na wąski, głęboki kanał. Przepląnąłem go wpław. Płaszcz zostawiłem na brzegu. Osobiste dokumenty włożyłem w ręcznik, który owiązałem wokół szyi. A to jak się okazało mogło stać się przyczyną mej śmierci: mokrą ręcznik zacisnął się tak wokół krtani, że o mało mnie nie udusił. Kanał łączył się z Renem, a Ren z Jeziorem Bodeńskim. Jestem dobrym pływakiem, ale ostatnie 3 km do brzegu szwajcarskiego pokonałem z największym trudem. Byłem uratowany...

W pierwszej napotkanej stodole zaszyłem się w sianie. O świcie wszedł chłop z widłami, aby nabrać siana. Wyszedłem z ukrycia. Zarośnięty, umazany błotem, wyglądałem jak upiór. Chłopi (było to we wsi Kaltenbach) nakarmili mnie, umyli, dali czystą bieliznę i ubranie, opłacili podróż pociągiem aż pod Zurych, gdzie w Winterthur mieścił się obóz internowanych w Szwajcarii polskich żołnierzy. Po przesłuchaniu w przydzielnicy policji, jeszcze przez trzy miesiące przebywałem w obozie przejściowym, aby przez Francję, trafić do Anglii.

Wylądowałem tu 15 stycznia 1945 roku. Wojna się jeszcze nie skończyła. Wstąpiłem od razu do polskiego wojska. Marzyłem od najmłodszych lat, aby być lotnikiem. Jestem mechanikiem. Przyjęto mnie do lotnictwa, ale zanim wystartowałem do pierwszego lotu, Niemcy zostały rozgromione. Ożeniłem się z Angielką, ale moi czterej synowie wychowywani są w duchu polskim. Pracuję w wielkiej fabryce sztucznych tworzyw. Moją pasją jest sport. To właśnie kondycji sportowej zawdzięczam powodzenie mej ucieczki z Niemiec!”

1000. Tyle kilometrów przewędruje w sumie wynalazca. W Kraju przebył 520 km resztę w Anglii



NA WIŚLANEJ TARCZY

O brzeg piaszczysty skrawka ładu bije przy wietrze północnym nieustannie fala. Podczas morskiej ciszy zwierciadło morza odlane jest tu z szarego kruszcu: przglądają się w nim statki płynące poza linię horyzontu. Na zachodzie widać z tego ładu-pukierza mgliste zarysy Redowskiej Kępy. Na wschodzie niebieskawą kosek brzegu wcinającą się w morze. Dawno temu nie było tej ziemi. Wytrwała praca matki polskich rzek — Wisły dokonała dzieła stworzenia. Z jej piasków, namulów powstał ten łąd, który z górującej nad falami mielizny przemienił się w zielony półwysp, od położenia na zachód od rzeki dawnego ujścia zwany WESTERPLATTE.

25 SIERPNIĄ mat Rygielski jeden z dwóch marynarzy pełniących służbę na Westerplatte jak zwykle prowadził obserwację morza i kanału portowego. Jego zadaniem było meldowanie o ruchu statków wchodzących i wychodzących z portu. W razie potrzeby obsługiwał też motorówkę. Raz po raz podnosił do oczu czarną lornetkę połową powiększającą ośmiokrotnie i przez jasne okulary wpatrywał się w horyzont. Było koło dziewiątej, gdy słońce już lekko przypalać zaczęło, posyłając promienie z dalekiej Piławy, gdy mat Rygielski zauważył pięć szybko rosnących sylwetek, które nadpływały od strony Helu. Ze swego połowego stanowiska zameldował natychmiast przez telefon połowy dowódcy o swoim spostrzeżeniu. Zrobił krótką notatkę w notesie z oznaczeniem godziny. W chwilę później u oficera dyżurnego, który pełnił służbę w koszarach w helmie, z paskiem opuszczonym pod brodę i przy pistolecie zadzwonił telefon:

„...Pięć okrętów wojennych, najprawdopodobniej niemieckich, idzie kursem na wejście do kanału portowego...” — meldował dowódca wartowni numer 4, położonej mniej więcej o 120 metrów od brzegu morskiego i posiadającej widoczność i na kanał i na morze.

Gdy pancernik wszedł do kanału portowego, prowadzony przez holowniki, zdawało się polskiej załodze Westerplatte, że coś ogromnego i wrogiego wzniosło się na łapach i zastępy nad półwyspem wysuwając gigantyczne czujki.

Niemcy po krótkim okresie powitań rozpoczęli pracę rozpoznawczą — widać było obracające się dalmierze, widać było baloniki wypuszczane przez artylerzystów dla mierzenia wilgotności powietrza.

Kapral Eugeniusz Grabowski, który był dowódcą połowego — 75-milimetrowego działa, patrzył fachowym okiem na ogromne lufy kalibru 280 milimetrów, umieszczone po dwie w wielkich pancernych wieżach. Pociski jego armaty ważyły po 7 kilogramów nie miały żadnych szans, żeby przebić pancernik, mogły najwyżej pozostawić na nim małe wgłębienia.

Mimo obecności stalowego kolosa życie na Westerplatte toczyło się normalnie. Większość załogi Westerplatte przybyła tu niedawno. Porządek był taki, że podstawową część załogi zmieniała się co pół roku — na miejsce tych, którzy pełnili tu służbę półroczną, przyjeżdżali nowi, z głębi kraju. Służba bowiem nie była łatwa, pędzona z dala od kraju — w warunkach izolacji, jeśli nie liczyć krótkich wycieczek do Gdyni holownikiem.

Było ich teraz tu 182 polskich żołnierzy, a każdy miał o tym miejscu inne zdanie. Niektórzy uważali Westerplatte za oazę zieleni wysuniętą w Bałtyk, w której służba jest przyjemnością: zdarza się słońce, zdarza się kąpiel w morzu. Koszary nowe, pięknie wykończone, z nowoczesnymi szatniami, natryskami, wygodnymi łózkami i pokojami o wielkich oknach pełnych słońca. Inni z mniejszą radością patrzyli na ten miniaturowy wojskowy świat: najbardziej im ciążyło odcięcie od rodzin, a nade wszystko odcięcie od przyznanego spojrzenia... Tuż za dwumetrowej wysokości murem z czerwonej cegły widać było posterunki gdańskiej policji. Tkwiły tu nie gwoli przyjaźni, mimo że w teorii miały uniemożliwić prowokacje czy napaści ze strony gdańskich „elementów nieodpowiedzialnych”. Nikt tu na Westerplatte nie pamiętał w każdym razie aby policjanci gdańscy wślawni się tak znaczącym czynem. Nikt natomiast nie miał wątpliwości co do tego, że pilnie obserwują, na ile potrafią, cały teren, że są okiem i uchem gdańskich władz, a teraz w 1939 roku — już bezpośrednio — wojsk III Rzeszy. Tak było zresztą przez cały czas, odkąd na Westerplatte liczącym niecały kilometr kwadratowy powierzchni znalazł się polski żołnierz.

Na podstawie umów międzynarodowych, i to zarówno Polski z Wolnym Miastem Gdańskiem, jak i na podstawie Uchwały Rady Ligi Narodów z 14.III.1924, Polska zyskała prawo do zorganizowania na Westerplatte Wojskowej Składnicy Tranzytowej oraz prawo budowania basenu amunicyjnego.

Gdynia była wówczas jeszcze małą rybacką wioską, z trudem utrzymującą się z połowów i nielicznych „letników”. Wszelki polski handel morzem szedł przez Gdańsk. Zorganizowanie składnicy wojskowej pociągało za sobą konieczność utrzymania na Westerplatte niewielkiej załogi wojskowej.

W sprawie jej liczebności ciągnęły się długie rokowania między Polską a Senatem Gdańskim. Ostatecznie w grudniu 1925 roku, a więc po półtorarocznym rokowaniu, sprawa rozstrzygnięta została uchwałą Rady Ligi Narodów: liczebność załogi Westerplatte ustalona została na 66 szeregowców, 20 podoficerów i 2 oficerów.

Stosunki między Polską a władzami gdańskimi układały się w różnych okresach rozmaicie, przechodziły różne koleje, zaczęły się poważnie komplikować z chwilą dojścia Hitlera do władzy i w miarę wzrostów sił partii hitlerowskiej w Gdańsku. Rok 1933, gdy trzeba było doraźnie, ad hoc, wzmocnić załogę Westerplatte dwoma kompaniami piechoty desantowej przez okręt transportowy Marynarki Wojennej ORP „Wilga”, dowiódł że Westerplatte nie jest przygotowane na ewentualność agresji uzbrojonych bojówek gdańskich hitlerowców.

Załoga mieściła się w starych budynkach z tak zwanego pruskiego muru, słabych, nietrwałych i nie dysponowała żadną bronią prócz karabinów. I dlatego w latach 1933—1934 wybudowano cztery wartownie, niewielkie budynki o wymiarach siedem na siedem metrów, o ścianach grubych na 50—60 centymetrów. Wartownie posiadały rzeź starannie ukrywaną — podpiwniczenia o konstrukcji żelbetonowej i stanowiska na broń ciężką. Ściany tych niewielkich budynków, z których jeden — dawną wartownię numer 1 możemy oglądać po dziś dzień, nie zapewniały ochrony przed bezpośrednim trafieniem pocisku artyleryjskiego, ale chroniły przed pociskami broni piechoty i odłamkami pocisków i bomb. Wszystko zresztą, co zostało w tym czasie zrobione na Westerplatte, robione było z myślą nie o regularnych działaniach przeciw regularnym siłom zbrojnym, ale o odparciu niespodziewanej napaści o charakterze prowokacji.

W latach 1935—36 wybudowano na Westerplatte nowy budynek koszarowy (ruiny z niego przetrwały) składający się z trzech kondygnacji — jednej podziemnej i dwóch naziemnych. Część podziemna mogła pomieścić w razie potrzeby dwie trzecie załogi i dawała ochronę przed ogniem broni ciężkiej i bombardowaniem. Budynek rozwiązany był znakomicie. Zastosowano na wszystkich kondygnacjach stropy żelbetonowe. Pierwsze dwa stropy miały w wypadku uderzeń bomb rozładować ich siłę. Jak pisze płk Siłkowski, który miał do czynienia z opracowaniem projektu: „Szukano rozwiązania, aby pierwsze dwa stropy kosztem ich zniszczenia rozładowały całkowicie energię bomby, strop zaś trzeci (schronowy) oparł się brylom żelazobetonu z tamtych dwóch stropów”.

Koszary oglądany z góry miały kształt litery „T” o złamanej nieco górnej kresce. Fronton budynku chroniony był tym prostopadłym skrzydłem przed obserwacją z drugiej strony kanału — mogli się tu odbywać zbiórki, apele i ćwiczenia, w ukryciu przed okiem wścibskich i nieprzyjaznych obserwatorów.

Wewnątrz koszary wykończone były nowoczesnie, miały centralne ogrzewanie, tusze, wentylację, kanalizację, nowoczesne, jak na owe czasy, i estetyczne umeblowanie. Pomyślane to było wszystko z zamiarem dania żołnierzowi warunków możliwie jak najlepszych i skupienie jego myśli na zadaniu, które ma spełniać, przy równoczesnej możliwości odprężenia i zmiany wrażeń. Westerplatte, stanowiące ogni teren wycieczkowy i wypoczynkowy Gdańska, porośnięte było gęstym lasem. Miało to swoje dobre strony, ponieważ ograniczało ewentualnemu napaśnikowi wgląd w sytuację na półwyspie, z drugiej — bardzo ograniczało pole widzenia z wartowni i utrudniało tym samym prowadzenie ognia.

I dlatego już w roku 1939, gdy jesienią Hitler począł wysuwać swoje pierwsze żądania pod adresem Polski, na Westerplatte przystąpiono do robienia przecinek w tym gęstym lesie, do tworzenia linii ognia. Przede wszystkim takie linie ognia

musiały posiadać wartownię numer 1 i 5, położone frontem na wschód, w kierunku lądowego przemyku, wąską gardzielą łączącą Westerplatte z łądem. Z tego kierunku najprawdopodobniej mogło nastąpić uderzenie niemieckie i tutaj trzeba było stworzyć zaporę ogniową, płaską zaporę broni maszynowej.

Wartownia numer 3 miała kontakt ogniowy z wartownią numer 4, z której właśnie zauważono zbliżanie się „Schleswiga” 25 sierpnia. Ta znów była już w styku ogniowym z wartownią numer 5. Podobne założenie obronne miały inne wartownie, zamknięte się jakby w ogniowy obwód, pierścień teoretycznie niemożliwy do przebycia dla piechoty. Bezpośredniego dostępu do koszar broniła wartownia numer 6 znajdująca się w piwnicy gmachu koszar. Całość była mechanizmem działającym niejako półautomatycznie, wymieniającym informacje przez telefon i odgłosem strzału. Wszystkie obiekty były albo małe, tak jak nowe cztery wartownie, lub trudne do „ugryzienia” jak podpiwniczenia wartowni numer 3 i w kabynie bojowej czyli wartowni numer 6 w koszarach.

Był w tym całym systemie jeden brak. Czołowa linia obrony — wartownie numer 1 i 5 oddalone były od miejsca, w którym od strony ładu próbować mógł szturm przeciwnik o 400—500 metrów. Powstawał więc problem, jak nie dopuścić do tego, by nie mógł on szybko zyskać terenu i zmienić sytuacji bojowej na niekorzyść obrońców. I dlatego od marca 1939 roku, tj. od momentu, gdy Niemcy dokonali desantu w Kłajpedzie, właśnie m.in. tą kompanią szturmową marynarki wojennej tkwiącą teraz pod pokładem pancernika, na Westerplatte wprowadzono nowe środki ostrożności, aby ubezpieczyć się przed niespodziewaną napaścią.

Daleko wprzód przed linię wartowni numer 1 i 5, a blisko głównej bramy wejściowej i muru okalającego Westerplatte od strony wschodniej wysunięto placówkę „Prom”, nazwaną tak od miejsca, gdzie przybił niedaleko prom. Drugą dużą placówką połową nazwaną „Przystań” utworzono nad kanałem portowym — naprzeciwko wieży pilotów — miała ona zamknąć ogniwo przejścia przez kanał. Obsady placówek przebywały tu na stanowiskach między zmrokiem a świtem, tak aby nie zdradzić się wobec przeciwnika, a zwłaszcza uniknąć obserwacji przez policjantów.

Nocą wprawne tylko ucho mogło dosłyszeć lekkie stuk i zgrzyty — wszystkie umocnienia ziemno-drewniane, wszystkie wykopy, ścinanie drzew, dokonywane były nocami, z zachowaniem maksymalnej ostrożności. Młotki zawijano w szmaty, pilowano bardzo ostrożnie. Zważano, aby przeredzanie drzew na przedpolu i przecinkach, mających dać dobrą linię strzału, dokonywane było stopniowo i nieznanie. Gdańskie samoloty bardzo często przelatywały nad terenem Westerplatte, niby bez powodu, a w istocie dokonując powietrznych zdjęć. Prace ziemne były trudne, męczące i denerwujące; załoga wykonywała je mimo to dokładnie i w wyznaczonym terminie — krzepł w tych nocach nowy kształt obrony terenu Westerplatte, wznosiła się jej siła, uzupełniano w ten sposób brakujące ogniwa, przygotowywano się na najgorsze i najtrudniejsze chwile.

Ostatnie dni sierpnia 1939 roku były piękne. Ale w Gdańsku na całym prawie 2000 kilometrów kwadratowych liczącym terenie kotłował się i parował niczym zły, trujący zacinjad hakaty, nienawisć i agresji. Gdy zbliżył się Westerplatte starszy ogniomistrz Leonard Piotrowski wyprawił się w trzeciej dekadzie sierpnia do Gdyni, ujrzał pełnię przygotowań wojennych. Po ulicach jeździły wozy pancerne „Danziger SS-Heimwehr” i raz po raz przechodziły oddziały o umundurowaniu rozmaitym, ale wyróżniające się jednakową butną i agresywną miną. Piotrowski zdążył do Gdyni, aby być obecny przy załadunku do wagonu hełmów, masek i zapalników do amunicji artyleryjskiej, lekarstw oraz stołu operacyjnego przeznaczonych dla Westerplatte. Major Krukierk z Komisariatu Generalnego RP w Gdańsku, a więc jakby ambasady, wyrażał mimo wszystko optymizm. Na pytanie Piotrowskiego o znaczenie tych przygotowań, odpowiedział z uśmiechem: „Panie Piotrowski, ja panu ręczę, że wojny nie będzie. Niemcy jej nie rozpoczyna, a my też nie”.

„Nie wierzę w to — odpowiedział Piotrowski — znam Niemców dobrze i twierdzą, że wojna wisi na włosku...”

Dokonałszy w Gdyni swoich czynności st. ogniomistrz Piotrowski wracał przez Tczew, gdzie mieszkała jego rodzina, na Westerplatte. Zwykle pociąg, którym jechał był w sierpniu przepełniony do tego stopnia, że nie można było znaleźć w nim wolnego miejsca. Teraz wagony ziały pustką. Był to pociąg widmo, z pustymi oczodolami okien, jakby bez sensu podążający naprzód za lokomotywą wlokącą tren czarnego dymu.

Wysiadł nie w Gdańsku, a w Gdyni, i wracał na Westerplatte holownikiem Marynarki Wojennej. Właśnie gdy wchodził do gdańskiego kanału portowego, wypłynął im naprzeciw biały statek wycieczkowy gdańskiej żeglugi, z herbem Gdańska na czerwonym tle. Pasażerowie na widok szarego ho-

* Porównaj w poprzednim numerze Tyg. Polskiego — „Gdański sierpień”.



Policja gdańska, mająca stałą ludność Wolnego Miasta, w ostatnich latach przed wojną stała się narzędziem partii hitlerowskiej w jej polityce przeciw Polakom gdańskim i interesom polski w Gdańsku, zagwarantowanymi postanowieniami Wersalu

lownika z polską białą-czerwoną banderą przebiegli na lewą burtę i poczęli pluć w ich kierunku, wy-machując pięściami, rzucając karczemne wyzwiska.

Nastrój gęstniał z dnia na dzień i z godziny na godzinę. Choć pancernik odszedł w głąb kanału portowego, nie myślał kończyć swojej wizyty kurtuazyjnej. Rozpoczęcie nauki przypadające w Gdańsku w szkołach na połowę trzeciej dekady sierpnia zostało przesunięte — początkowo na poniedziałek 28 sierpnia, a następnie o dalszych kilka dni — właśnie z powodu wizyty pancernika. Wywoływało jakąś euforię w związku z przybyciem okrętu. Równocześnie wzmożyły się prowokacje wobec polskich kolejarzy, i pocztowców.

Podczas gdy Gdańsk stał się skrzyżowaniem poligonu z permanentnym świętem państwowym (jeśli się zważy ilość i rozmiary flag zwisających w różnych konfiguracjach z każdego domu), na Westerplatte w dniu 31 sierpnia rozegrała się scena o wielkim znaczeniu.

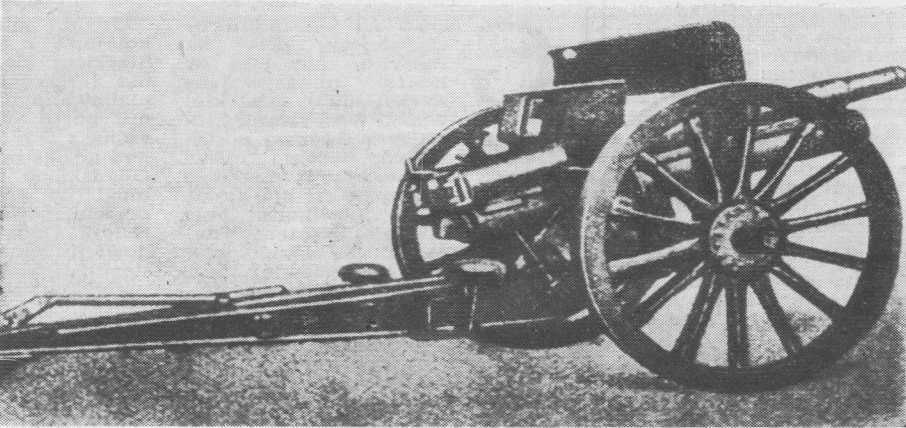
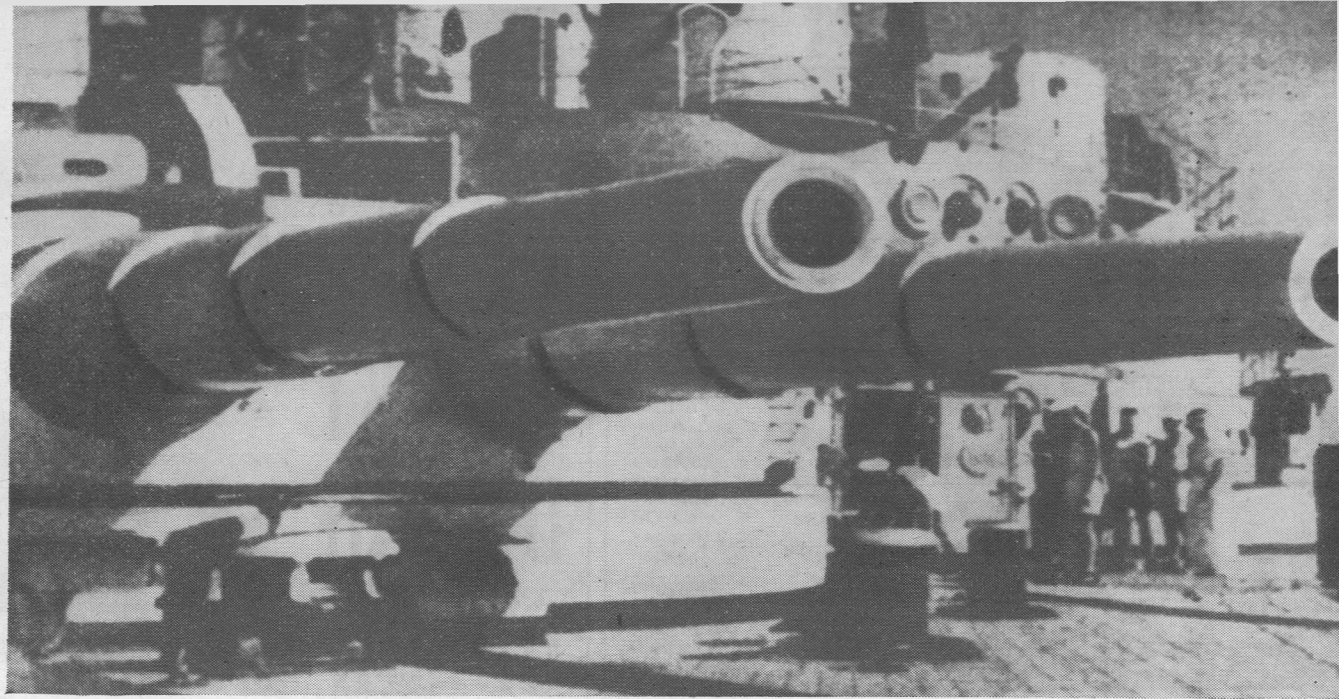
Po południu tego dnia przybył na teren Składnicy Tranzytowej podpułkownik Wincenty Sobociński, szef Wydziału Wojskowego Komisarjatu RP w Gdańsku. Wszyscy pamiętali go zawsze jako człowieka o uosobieniu pogodnym, skłonnego do żartu. Tego dnia był wewnątrz skoncentrowany, bardzo poważny. W rozmowie z nim uczestniczyli wszyscy oficerowie Westerplatte, a więc major Henryk Sucharski — komendant Składnicy Tranzytowej, a w razie walki dowódca obrony Westerplatte. Oficer, który zakosztował pierwszej wojny światowej. Obok niego siedział kapitan Franciszek Dąbrowski, stary świetny szkoleniowiec i oficer liniowy, przez przyjaciół zwany „Kuba”. Obecny był także porucznik Leon Pająk, dowódca placówki „Prom”: w marcu przyprowadził z Kieleckiego 82 ludzi jako zmianę wymiennej części załogi. Oficer piechoty nowego już rzutu, który dobrze się zapisał we wrześniu, syn Ziemi Kieleckiej. Twardy, obowiązkowy, ulepiony z dobrej polskiej gliny. Wkrótce doszłusował już podczas obiadu podpor. Działek Kregielski, młody oficer piechoty, przybyły z 69 pułku piechoty w Gnieźnie, gdzie pełnił funkcję dowódcy plutonu. Podchorążówkę ukończył w roku 1936. W mundurze lotnika siedział porucznik Franciszek Grodecki, z wykształcenia inżynier. Jego opiece podlegały wszystkie sprawy związane z łącznością, systemem alarmowym, oświetleniowym (każda wartownia wyposażona była w reflektor), a także elektrownia. Obecny był także wysoki, barczysty, dobrze zbudowany lekarz — kapitan Mieczysław Ślaby. Rozmowa toczyła się w nastroju powagi i świadomości tego, jakie chwile się przeżywa.

Westerplatte było enklawą, skrawkiem lądu otoczonym, praktycznie biorąc, ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela. Na kanale stał pancernik „Schleswig-Holstein”, na morzu patrolowały okręty wojenne.

Jaką rolę miało spełnić Westerplatte w polskich planach wojennych, jaka pomoc miała być okazana załodze na wypadek ataku? Zarówno dowódca, jego zastępca jak i podpułkownik Sobociński dobrze wiedzieli o istnieniu planu tak zwanej „interwencji gdańskiej”, która sprowadzała się do uderzenia dwóch dywizji 13 i 27 z rejonu Tczew-Skarszewy w stronę Wrzeszcza, w razie gdyby hitlerowcy spróbowali puczu i włączenia siłą Gdańska do Rzeszy. Od północy na korzyść obrońców miała także interweniować flota polska, zbudowana nawet pomost wychodzący w morze, który mógł ułatwić przyjęcie oddziałów desantowych. Aby umożliwić nadejście pomocy, stawiano załozę Westerplatte zadanie obrony półwyspu przez sześć godzin.

Podczas obiadu wszyscy mimo trudnej sytuacji starali się o utrzymanie dobrego nastroju. Wieści natury ogólnej przepletano anegdotą, żartem. W pewnym momencie podpułkownik Sobociński wstał, z kieliszkiem w ręku, i patrząc zebrawym oficerom w oczy powiedział: „Nie wiem, kiedy się zobaczymy, ale mam do was jedną prośbę — nie dajcie się zaskoczyć”. Później podszedł do najmłodszego wiekiem i stopniem podporucznika Kregielskiego, średniego wzrostu blondyna o bardzo regularnych rysach. — „Z wszystkimi jestem po imieniu — powiedział — tylko nie z tobą «Maty». Dlatego piję z tobą za braterstwo, ażebyś pamiętał, że

Fragment z półwyspu Westerplatte. Willa podoficerska, która w czasie nierównej walki stanowiła wartownię Nr 1. Zdjęcie zrobione zostało z budynku koszarowego, który znajdował się naprzeciw



Stosunek sił hitlerowskiego pancernika wprowadzonego podstępem na wody Gdańska i polskiej załogi wartowniczkiej na Westerplatte, obrazują te dwa zdjęcia. U góry — 280 mm działa pancernika i z lewej — dział 75 mm jakim dysponowali bohaterscy żołnierze polscy

jesteśmy wszyscy w jednej rodzinie, i jak w jednej rodzinie musimy się wspólnie popierać.” Zebrawym pozostało w pamięci zdanie, które trudno było zapomnieć: „Pamiętajcie, nie dajcie się zaskoczyć, a jeżeli wytrzymacie 12 godzin, to gdy losy pozwolą, całą załogę ożlocimy...”

Podpułkownik Sobociński, wysoki starszy mężczyzna, prosi nagle podporucznika Kregielskiego do osobnego pokoju i mówi mu: „Słuchaj, Maty, mówię z tobą jak z oficerem i mężczyzną — mała nadzieja uratowania życia. Bijecie się o honor żołnierski i polski Gdańsk. Wasza postawa zadecyduje, jak będzie Was sądziła przyszłość. Wiem, że masz matkę na utrzymaniu. Podaj mi jej adres, a jeśli będę mógł, zrobię dla niej wszystko, ażeby mogła żyć w spokoju. Przewaga po tamtej stronie jest olbrzymia. Jestem przekonany, że potrafisz wspólnie z innymi udźwignąć i wypełnić to trudne zadanie, że będziecie się bronili przez 12 godzin...”

On jeden wie, że to co mówi jest właściwie równoznaczne z wystawieniem weksla bez pokrycia, że długotrwałość obrony ma inne znaczenie niż przypuszczają obecni, że perspektywy odsieczy praktycznie biorąc są żadne, że flota nie pojawi się przed Westerplatte — ani polska, ani tym bardziej angielska czy francuska, że plan interwencji gdańskiej został anulowany, ponieważ w grę wchodzi już nie pucz gdańskich hitlerowców, ale regularna wojna, i dywizjom, które uderzyłyby na Gdańsk, groziłoby natychmiastowe odcięcie. Trudno jednak taką prawdę wykrzusić przed tymi ludźmi, którzy muszą tu — cokolwiek by się nie stało — pozostać, na tej wiślanej tarczy otoczonej morzem i wrogiem.

Dzień poczyna się chylić ku zmierzchowi. Na kanale portowym ustal wszelki ruch, jest coraz ciszej. Nadchodzi noc. Jedna trzecia załogi czuwa na stanowiskach polowych. Podoficerem służbowym jest tego dnia plutonowy Józef Łopatniuk. Jego pułkiem macierzystym był jeden z podlaskich pułków piechoty. Tego wieczora jakoś raz po raz przytywa mu fala wspomnień, pożegnany uscisł dłoń z dowódcą pułku, który mówi coś o obronie Wybrzeża, o Polsce.

31 sierpnia plutonowy Łopatniuk, postawny brunet o miłym uśmiechu, rozproszony o godz. 14.00 zmianę warty składającą się z pięciu pododdziałów. Pod wieczór słońce wydało mu się nienaturalnie czerwone, powietrze duszne od upału i wilgoci. Później, już po zapadnięciu zmroku, z drzew dobiegło go krakanie wron — a może było to tylko złudzenie. Plutonowy Łopatniuk był artylerzystą i jemu podlegały dwa działka przeciwpancerne 37-milimetrowe sprowadzone jesienią 1938 roku; teraz znajdowały się w bezpiecznym ukryciu w garażu. Miały one interweniować w wypadku, gdyby Niemcy rzucili przeciw Westerplatte broń pancerną.

Pod wpływem impulsu, który nakazywał zbliżenie się do ludzi, plutonowy wstał zza stołu, poprawił hełm i przeszedł do żołnierskiej sali sypialnej. Pachniało tu skórą, pastą, trochę potem. Żołnierze nie spali, niektórzy pochyleni nad stołami lub trzymając papier na kolanach pisali listy do rodzin. „Nic nas bardziej nie męczy niż to wyczekiwanie — myślał — kiedy się wie, że to, czego się człowiek spodziewa, nadejść musi, ale nie wiadomo kiedy, skąd i jak”. Sala naładowana była czymś, co trudno sprecyzować, ładunkiem napięcia, oczekiwaniami na niewiadomy los.

Major Sucharski w swoim pokoju pisał przy małej lampce nocnej list do rodziny. Okno było zaciemnione, tak jak cały teren Westerplatte, pióro lekko poruszało się po papierze zostawiając litery pisane trochę skośnie, ale równo i kształtnie: „Wojny jeszcze nie ma. Znosi się na nią, ale czy wybuchnie, to nie wiadomo. Jeśli jednak będzie, to przecież na pewno i wy dobrze o tym wiecie, że być się i wygrać ją musimy...”

W tym samym czasie jego zastępca, kapitan Franciszek Dąbrowski, postać bardzo charakterystyczna ze względu na wzrost, smukłość sylwetki i nieprzeciętną męską urodę, robił wespół z kapitanem Ślabym obchód frontowy. Wszędzie na placówkach połowych chłopcy zatrzymywali go w porę zdecydowanym, choć przyciszonym „Stój! Kto idzie?” Na połowej placówce „Wał” oddalonej o niecałe dwieście metrów od głównej bramy wejściowej, a położonej na wale schronu amunicyjnego, zatrzymał go młody chłopiec, kapral Szamlewski. Z lekkim karabinem maszynowym i dwoma ludźmi miał tu przyjąć jako pierwszy Niemców, którzy chcieliby wdrzeć się na tym kierunku. Jego ogień miałby wywołać akcję placówki „Prom”, leżącej nieco w prawo, na małym leśnym wzniesieniu terenowym. Zapamiętał jego twarz młodzieńczą, nieledwie chłopięcą. — „No trzymajcie się” — rzucił Szamlewskiemu na odchodnym i skierował się w stronę wartowni nr 5, gdzie dowodził ulubiony przez wszystkich plutonowy Adolf Petzelt, znany z opowiadania znakomitych anegdot i tego, że nie lubi wylewać za kołnierza. Gdy kapitan znalazł się przy wartowni numer 2, stwierdził, że kanał opustoszał zupełnie, tym więc wyraźniej dał się w pewnej chwili słyszeć szum motorówki policyjnej. Cicho rozmawiając z kapitanem Szlabym wrócili do koszar i złożyli majorowym meldunek.

Sierżant Najzarek, zawiadowca stacji na Westerplatte, rezerwista, mimo namów kolegów nie pozostał w koszarach, ale udał się do swej małej, miniaturowej stacyjki, gdzie zwykle sypiał. Stacyjka wysunięta była jeszcze przed stanowisko kaprala Szamlewskiego i znajdowała się o kilkadziesiąt metrów od bramy kolejowej na Westerplatte. Tędy biegły tory kolejowe, którymi za czasów pokoju wtażano pociągi na teren składnicy, tutaj przesuwaną składy elektrycznym generatorem, przypominającym nieco wagonik kolejki w luna-parku, ale obdarzonym znaczną mocą. Najzarek czuł się tego wieczora źle, nawet towarzystwo kolegów i przyjaciół nie pociągało go. Przechywał, że nadchodzi coś, czego odrzucić nie można, a czemu trzeba wyjść naprzeciw tam, gdzie pełni się obowiązek. I dlatego opuścił grono przyjaciół — podoficerów, którzy wieczorem siedzieli w kasynie, i spokojnym równym krokiem poszedł w stronę małego budynku stacji, który przynależał mu los.

Nadchodzi północ, kończy się dzień 31 sierpnia 1939 roku, zaczyna dzień pierwszego września. O godzinie 1.00 plutonowy Łopatniuk wysłał ludzi na patrol, sam wychylał się z okna budynku koszarowego i wdycha ostry żywiczny zapach z pni

świeżo ściętych sosen. Noc jest jasna i spokojna. Mija godzina, mijają jeszcze trzy kwadransy. O godzinie 2.45 zachodzi ponownie do sali sypialnej — wszyscy już śpią, nikt nie czuwa. Na stole dzwoni telefon — major pyta się, co słychać. Od brzegu dobiega szum morza, niepowtarzalne echo jego wiecznej pracy. Na wschodzie niebo poczyna leciutko rozjaśniać się. „Jakie ciężkie jest to oczekiwanie — myśli — jak bardzo człowiek cierpi...”

Lekko wyniesiona ponad poziom łądy, z małym uskokiem terenowym, tkwi na dalekim przedpolu wartowni numer 1 i 5 placówka „Prom”. Podobnie jak pozostałe placówki polowe, obsadzana jest od zmięzchu do świtu. Niegdyś był tu fort, później wysadzony — miejsce porosło od tego czasu młodym lasem. Naokoło biegnie tu rów, nad nim wał, w środku teren jest lekko wklęsły. Zbudowano tu w sierpniu, nocami, schron dla obsługi cekaemu i na amunicję, stanowiska ogniowe, rowy dobiegowe i łączące. Wzdłuż rowu ustawiono zasieki. Od placówki aż do rowu biegnie zapora przeciwczołgowa z grubych pni drzew. Nie jest jednak jeszcze ukończona.

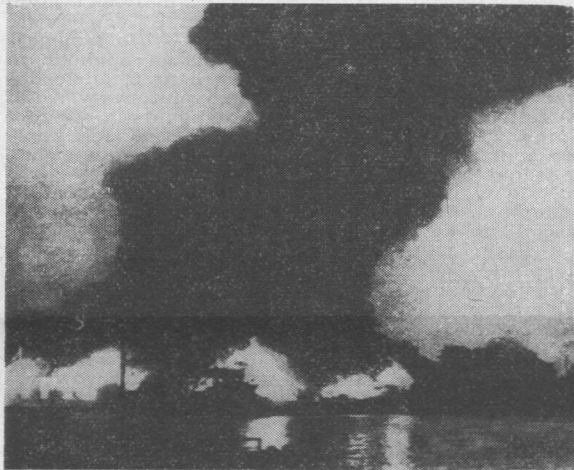
Na placówce „Prom” jest tej nocy trzynastu ludzi z chorążym Gryczmanem; dowódca placówki porucznik Pająk, który zachorował właśnie, przebywa w koszarach. Zadanie placówki: zamknąć ogniem wejście na Westerplatte od strony wschodniej, a więc z kierunku przesyłki lądowego.

Już po zachodzie słońca około godziny 21.00 zauważono z placówki, że za murem składnicy zniknęli gdzieś gdańscy policjanci, a pojawiły się patrole żołnierzy w mundurach feldgrau, z białymi opaskami na przedramieniu. Chorąży Gryczman, stary żołnierz, który pierwszą światową „przerobił” w Legionach, sam także przeprowadzał rozpoznanie — wchodził w tym celu na schodki przystawiane do czerwonego muru okalającego i obserwował teren poza murem. Ujrzał dwukrotnie taki patrol niemiecki, przechodzący dosłownie w zasięgu wyciągniętej ręki. Około godziny 22.00 holownik gdański odciągnął w głąb portu wioski statek ładujący zboże w Nowym Porcie. Około godziny 23.00 będący na podsłuchu st. strzelec Ziemia zameldował, że w Nowym Porcie jacyś cywile opuszczają mieszkania z tobołkami w rękach. Niedługo potem przeszedł przez placówkę plutonowy Łopatniuk, a po północy sam major Sucharski. Nie uwierzył w pierwszej chwili w meldunek o pojawieniu się żołnierzy. Zamyślił się i jakby do siebie i do swoich myśli, a może dla uspokojenia chorążego, rzekł: „Widocznie nie wierzą schupowcom i obsadzili wartownie rezerwą policji”. A po chwili: „Nad ranem wzmocnić czujność, o wszystkich spostrzeżeniach natychmiast meldować...”

Znużony czuwaniem chorąży Gryczman poszedł na chwilę się zdrzemnąć wraz z plutonowym Baranem do niedalekiej szopy. Po północy zostali obudzeni... Zbliżał się świt i można było gotować się do zejścia z placówki. Znał kanału unosiła się lekka mgła.

Była godzina 4.17, gdy za murem trzasnął strzał. Był to trzask płaski, ostry, ryjący się w słuch. Karabin czy pistolet? Kto strzelił? Po co? Telefoniczny meldunek do majora. Chorąży Gryczman poleca plutonowemu Baranowi zrobić obchód wzdłuż muru. Żaden jednak z wartowników, którzy pełnią tu służbę, nie daje konkretnej odpowiedzi, o jaki i skąd oddany strzał tu chodzi. Plutonowy Baran dociera do strzelca Misztalskiego, który stoi na posterunku przy bramie kolejowej, niedaleko stacji. Wysłuchawszy jego relacji, rusza w drogę powrotną. Patrzy na zegarek: zbliża się godzina 4.45 dnia 1 września 1939 roku...

ZBIGNIEW FLISOWSKI



Płoną gdańskie warsztaty portowe. Hitlerowska propaganda przedstawiła to kłamliwie jako pożar terenu bronionego przez polskich żołnierzy

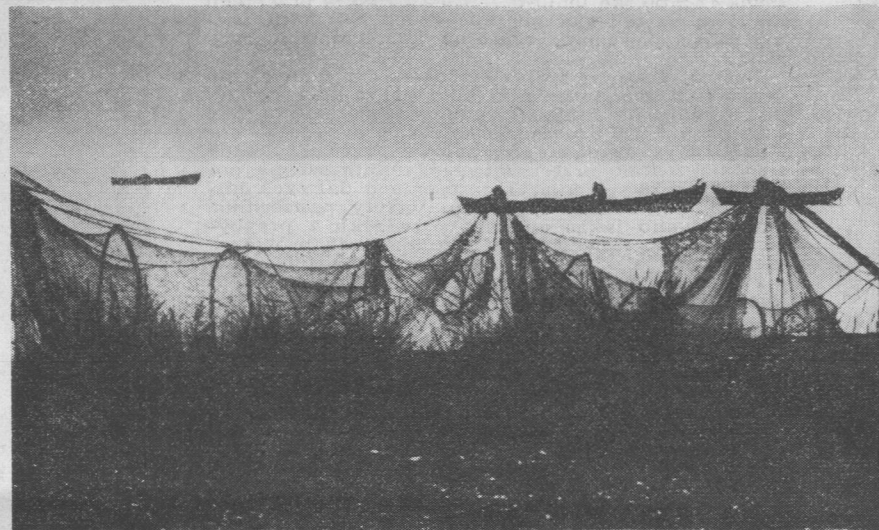
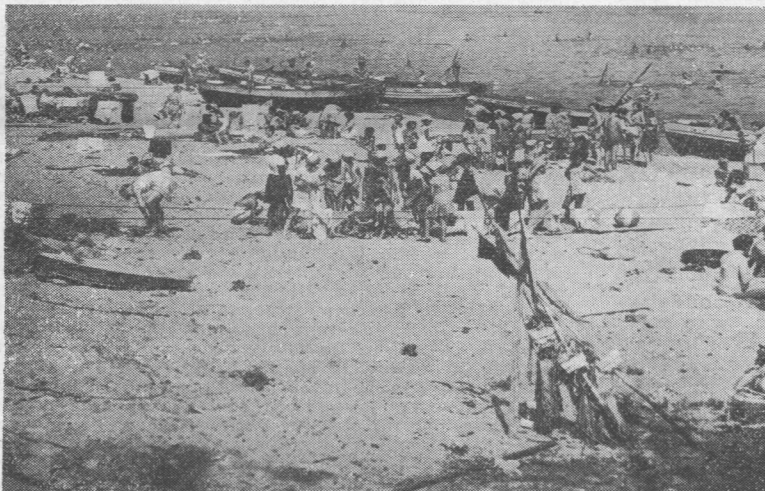
W następnym numerze z tego cyklu

OBRONA

— przedstawiająca zaciętą walkę małej załogi polskiej na Westerplatte z olbrzymią armadą hitlerowskiego najeźdźcy. Siły załogi polskiej obliczone na 6-godzinną walkę wytrzymały siedmiodniowe krwawe zmaganie.

NA MIEJSCU WALKI DWÓCH ORŁÓW

GDYNIA — najnowocześniejszy port na Bałtyku, powstała w latach międzywojennych z małej rybackiej wioski i przystani, kiedy Wolne Miasto Gdańsk, posiadające na swym terenie ujście Wisły, zamiast służyć żegludze polskiej zaczęło się na nią dąsać. Inna rzecz, że nie można było wymyślić bardziej nonsensownego rozwiązania: zakneblować ujście całkowicie polskiej rzeki przez wyłączenie Gdańska z polskiego organizmu. Polska znalazła się w takiej sytuacji wybudowała Gdynię. Nie przyszło to łatwo. Wymagało znacznego wysiłku.



Krajobraz bałtycki na wybrzeżu gdańskim w sąsiedztwie Orłowa

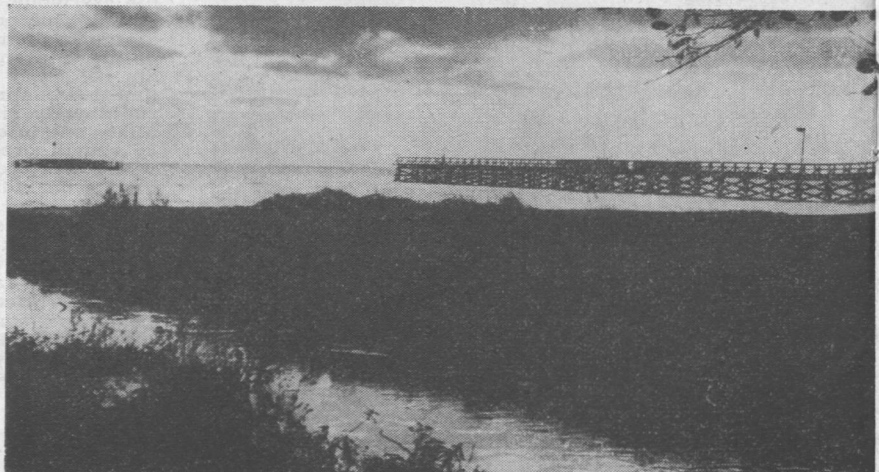
Gdynia otrzymała połączenie kolejowe z centrum Kraju i ze Śląskiem, ale nie miała powiązania z rzeczną siecią Polski. Zaplanowano więc, że po ukończeniu portu, Wisła zostanie połączona z Gdynią sztucznym kanałem gdzieś od wysokości Tczewa. Gdańsk po otwarciu Gdyni nie mógł ze swym przestarzałym portem robić jej większej konkurencji, a gdyby doszło do wybudowania kanału, zupełnie by podupadł. Realizacji polskiego planu przeszkodził napad Hitlera na Polskę, a po wojnie kanał był już niepotrzebny: Gdańsk i Gdynia wróciły do jednego organizmu wzajemnie się uzupełniają. Sopot — modna miejscowość ku-

racyjna i nadmorska, wchodził w latach międzywojennych w obręb Wolnego Miasta Gdańska. Polski turysta czy wczasowicz, nie mógł wówczas korzystać z tej ekskluzywnej, bardzo drogiej miejscowości i konkurować z niemiecką finansierą, która ze względów politycznych specjalnie Sopot popierała. Mógł najwyżej przyjrzeć się mu z daleka. Ale Polacy też chcieli mieć własne kąpielisko nadmorskie w tej części Bałtyku, gdyż letniska na Półwyspie Helskim były zbyt odległe, a komunikacja z nimi utrudniona. I tak jak wieś Gdynię przekształcili w nowoczesne miasto i port, tak sąsiednią wioskę — Orłowo, położoną przy ujściu rzeczki Kacza u stóp wysokiego i zalesionego Przylądka Redłowskiego, zamienili na morskie kąpielisko.

Piękno krajobrazu, dobre warunki klimatyczne i zaciszna nasłoneczniona o czystym, drobnym piasku plaża, bardzo temu sprzyjały. W 1934 r. wybudowano w Orłowie okazałe molo wpuszczone na pół kilometra w Bałtyk, przy którym urządzono przystań dla statków spacerowych i jachtów. Wille i domy wypoczynkowe wzniesione na malowniczym nabrzeżu wśród drzew, gościły każdego roku około dwóch tysięcy letników.

Gdyby Orłowo było dziś samodzielną miejscowością, obchodziłoby obecnie swoje 300-lecie, gdyż tyle lat ostatnio właśnie upłynęło od pierwszego pojawienia się jego nazwy. W styczniu 1666 roku doszło nad Redłowskim Przylądkiem do zaciętej kilkugodzinnej walki dwóch orłów. Obserwowali ją rybacy, później zaś miejsce to nazwali Orłowem. 100-lecie nie urządzono, gdyż Orłowo jest obecnie dzielnicą kąpieliskową miasta Gdyni. Poza tym jako atrakcyjny nadmorski ośrodek letniskowy straciło na znaczeniu wobec udostępnienia ludziom pracy Sopotu, jak i powrotu do Polski kilkunastu innych nadbałtyckich miejscowości.

U stóp wzniesienia, na którym zacięte orły walczyły o nieznaną bliżej przystań, stoi w Orłowie maleńki domek rybacki. Wyróżnia się skromnością. W 1920 roku mieszkał w nim Stefan Żeromski. W nim pisał „Wiatr od morza”. W pobliżu znajduje się cmentarz Obrońców Wybrzeża z 1939 roku, a na nim m.in. grób płk Dąbka — dowódcy obrony.

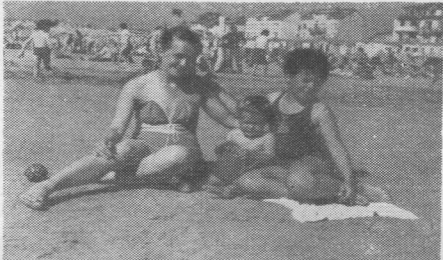


U góry fragment orłowskiej plaży pełnej piasku, słońca i radości urlopowej, a w środku — odcinek nabrzeża, z boku — molo w Orłowie zbudowane przed wojną

ŻONA NAD KANAŁEM LA MANCHE MĄŻ w... CIEPŁOWODACH



Pan Stefan Mol z bratankiem Kazikiem przed domem brata w Ciepłowodach



Zdjęcia wyjaśniające tytuł naszego reportażu: — „Żona nad Kanałem La Manche, mąż w... Ciepłowodach”



WYJAZD BYŁ JUŻ POSTANOWIONY. Cała rodzina państwa Molów miała w sierpniu pojechać do Polski. Poprzedni ich pobyt w Kraju w 1960 r. upłynął tym przyjemniej, że p. Stefan Mol, urodzony w Sieciechowicach pod Krakowem, ma tam licznych krewnych i znajomych. Zilda, starsza, 13-letnia córka pp. Molów, po spędzeniu wakacji w Polsce z rodzicami, jeździła tam jeszcze raz — na kolonie letnie. Zilda, tak samo jak mama, p. Irena Mol, urodzona jest w Paryżu. Należy więc do trzeciego pokolenia emigracji polskiej. Język zna, choć mówienie po polsku sprawia jej pewną trudność. Jest jeszcze jeden członek rodziny: dwuletnia Wandzia, bardzo ruchliwa istotka, zajmująca dużo miejsca w życiu rodziny. Z jej powodu w ostatniej chwili, gdy podróż w tym roku do Polski była już postanowiona i częściowo przygotowana — rodzina zmieniła decyzję.

— Nie możemy jechać w tym roku, niestety — stwierdzili pp. Molowie. — Zameczylibyśmy dzieciaka.

Mama z Zildą pogodziły się z tą decyzją łatwiej, ale panu Stefanowi było wyraźnie przykro. Tak liczył na tę podróż, tak bardzo pragnął zobaczyć Kraj po sześciu latach przerwy!

No i wtedy właśnie nadszedł list z „Tygodnika Polskiego”...

— To było cudowne — mówi p. Irena Mol. — Przyszedł list z „Tygodnika” z wiadomością, że mój mąż wygrał w konkursie podróż do Polski! Właśnie wtedy, gdy on grzył się i zamartwiał, że w tym roku podróży nie odbędzie. Bez tej wygranej nie byłoby oczywiście mowy, aby Stefan sam jechał...

*

Fort-Mahon jest olbrzymią, piękną plażą nad Kanałem La Manche. W pobliżu znajduje się słynna Berck-Plage, na której odbywają kuracje dzieci chore na gruźlicę kości. W Fort Mahon nie widzi się chorych. Tutaj ludzie przyjeżdżają na odpoczynek, dla rozrywki i odprężenia. Na plaży spotyka się dużo dzieci z rodzicami i młodzieży. Polaków można tu także spotkać. Jedną z rodzin, spędzających tu wakacje są pp. Molowie. Mama opala się właśnie, Zilda bawi z Wandzią i bardzo troskliwie opiekuje się nią. Brak tylko tatusia. Ale jego nieobecnością nikt się nie martwi, choć na pewno byłoby z nim znacznie przyjemniej...

— Trudno, nie można być egoistką — śmieje się p. Irena. — Musiałam go puścić samego. Pojechał przecież dzięki tej nagrodzie. U nas zdarzają się czasami takie niecodzienne wypadki. Meza mego poznałam w taki dziwny sposób. Był w niewoli razem z mym ojcem. W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu Paryża odwiedzało nas wielu Polaków. Jednym z gości był Stefan, którego ojciec bardzo lubił. Zamieszkał u nas. Miałam wtedy 16 lat.



Pani Irena z dwojgiem dzieci spędza wakacje nad Kanałem La Manche

Pamiętam jak kiedyś żartowali na mój temat. Ojciec mówił, że mogłabym zostać jego żoną, ale jestem za młoda. „Nie szkodzi, zaczekam” — powiedział wtedy Stefan. No i dotrzymał słowa... Gdy pobraliśmy się, w cudowny dla nas sposób spadło nam nieoczekiwane mieszkanie. Tyle starań, poszukiwań — a wreszcie wszystkie trudności pokonały się bez naszego trudu i udziału. Czy to nie było szczęście?

Teraz, w upalne dni sierpnia nad Kanałem La Manche, pani Irena odpowiada o swojej przeszłości, ciesząc się, że piękna pogoda, jaka panuje tutaj, jest i w Polsce. Jest oczywiście ciekawa jak spędza urlop jej małżonek w Kraju.

*

NASZ KRAJOWY KORESPONDENT odwiedził p. Stefana w Ciepłowodach, w powiecie Ząbkowice Śląskie, na południe od Wrocławia. Tam przeniosła się przed 17 laty jego rodzina: starszy brat Józefat, żona Maria i dwóch synów — Gustaw i Kazimierz. 26-letni Kazik zdobył już zawód — jest technikiem telewizyjnym, młodszy — Gustaw skończył szkołę rolniczą i w lecie pomaga ojcu na plantacji tytoniu.

Krajowi państwo Molowie mają dwuhektarowe gospodarstwo, na którym w ostatnich latach założyli uprawę wysokogatunkowego tytoniu „Virginia”. P. Józefat zajmuje się krawiectwem, którego wyuczył się jeszcze przed wojną, podobnie zresztą jak jego brat Stefan, mieszkający od 20 lat w Paryżu i wykonujący zamówienia dla znanych paryskich domów mody.

Podczas pobytu w Polsce nasz laureat zżywał prawdziwego wypoczynku w gościn-

nym domu swego brata w Ciepłowodach, skąd bardzo blisko na Ziemię Kłodzką, gdzie znajdują się takie uzdrowiska, jak: Łądek Zdrój, Duszniki, Polanica czy Kudowa i cuda przyrody podgórskiej.

Łagodny, podgórski klimat o właściwościach leczniczych oraz piękna pogoda sprawiają, że p. Stefan czuje się tu wyczerpanie. Może dzięki temu nastrojowi, odcieciu od paryskiego zgiełku i zajęć, tak chętnie opowiada o swoim tułaczym życiu w czasie okupacji?

— Gdy wybuchła wojna, miałem 23 lata — wspomina. — Najpierw brałem udział w kampanii wrześniowej. Służyłem w 20 pułku piechoty, słynnym pułku „Dzieci Krakowskich”. Wojenna tułaczka zawiadła mnie do Rumunii, Libanu, Turcji, Grecji, Algierii. Wreszcie znalazłem się we Francji; jako żołnierz II Dywizji dostałem się pod Belfort (Seine) do niewoli. Aż do wyzwolenia byłem więźniem Stalagu 2 C w Grywałdzie koło Szczecina. Wyzwolili nas Rosjanie i przekazali Francuzom. We Francji pierwszej pomocy i gościny udzielił mi jeden z najbar dziej oddanych przyjaciół obozowych — Kazimierz Janikiewicz. On to został właśnie moim... teściem.

— Przez ostatnie 6 lat — kontynuuje p. Stefan oglądając uważnie liście tytoniu na plantacji — niejednokrotnie marzyłem w Paryżu o takim spokojnym wypoczynku, jaki mam tutaj. Teskniąc do Polski, tęskniłem właśnie do tej cichej, pięknej wsi, do tych wzgórz, tego wspaniałego czystego powietrza. Alors... dzięki szczęśliwemu przypadkowi udało mi się zrealizować te ciche zamiary: odwiedzić rodzinę i przyjaciół, żyć ich codziennymi sprawami i odpoczynkiem. Chcę jeszcze odwiedzić znajomych, od których we Francji otrzymaliśmy z żoną zaproszenie do Łowicza, Poznania i Warszawy. Jak widać — czeka mnie jeszcze wiele przyjemności w Polsce, o których opowiem po powrocie do Paryża żonie i córce. Pamiętam, że żona też chciała tu przyjechać, ale... Nie mogłabym jechać, niestety, razem — zdecydowała. — Zameczylibyśmy dzieciaka...



Rabanie drzewa daje siłę. Ale siekiera w rękach p. Mola z Paryża nie siedzi tak pewnie jak w ręku p. Mola ze Śląska. Poniżej przechadzka po plantacji





„Wujek Olek”

Aleksandra Felistka nazywają warszawskie dzieci „wujkiem Olekiem”. Popularność wśród najmłodszych zawdzięcza on temu, że od lat zajmuje się organizowaniem dziecięcego czasu. Pan Felistka współpracuje z wieloma szkołami, gdzie organizuje wystawy i imprezy rozrywkowe. Od 20 lat propaguje z pasją różne formy zbieractwa, rozbudzające zainteresowania dzieci. Posiada wiele kompletów do gier i zabaw, większość jest jego pomysłu. Zebrał kilkutyśięcną bibliotekę traktującą o zabawach i psychice dziecięcej. Sam jest również autorem kilku książek na ten temat.

Na tropie nowych zasobów węgla

Geologiczna penetracja Lubelszczyzny przyniosła rewelacyjne rezultaty. Ekipy badawcze odkryły w tym rejonie Kraju bogate pokłady węgla kamiennego o przemysłowej wartości.

Nowo odkryte Lubelskie Zagłębie Węglowe położone jest na wschód od Lublina i zajmuje obszar zbliżony wielkością do górnośląskich „czarnych pól”. Według wstępnych szacunków, między Parczewem a Hrubieszowem zalega — na głębokości dostępnej dla górnictwa — prawdopodobnie kilkanaście miliardów ton węgla kamiennego. Może to oznaczać, że jest to jedno z większych złóż w Europie.

Pierwsze dane o występowaniu pokładów węgla kamiennego nad Bugiem, Polska zawdzięcza wybitnemu geologowi — prof. J. Samsonowiczowi. Badania w tym rejonie prowadził on w 1937 r.

Poszukiwania na Lubelszczyźnie podjęte zostały w 1953 r. przez Instytut Geologiczny. Wówczas w 4 otworach wiertniczych natrafiono na pokłady węgla.

Opracowany został projekt rozpoznania zasobów lubelskiego „czarnego złota”. Wstępnie zaplanowano wykonanie 15 otworów wiertniczych, które przekroczą głębokość 1 tys. m.

Obecnie całość wstępnych prac geologicznych jest niemal na ukończeniu. Można już teraz

Śluby na odległość

Śląskie Urzędy Stanu Cywilnego miały ostatnio powodzenie. Śluby odbywały się masowo.

W Katowicach wśród 20 par była też para „międzynarodowa” — Polak z Kanady — żenił się z mieszkanką stolicy Śląska. W Rudzie Śląskiej odbył się ślub na odległość — Argentynczyk żenił się z Polką z Kochłowic.

Tygodniowa GAWĘDA

Ostatnie sierpniowe dni spędzitem w górach. Teraz tu najprzyjemniej. Nad Bałtykiem chłodnawo, jesień zaczyna zwiastować rychłe przybycie, nad jeziorami też już się przerzedziło, tylko wytrwali rybacy wciąż jeszcze zarzucają wędkę, by ureszcie złowić „taaką rybę” i móc podczas długich zimowych wieczorów opowiadać o swych sukcesach. A na Podhalu sezon trwa. Nawet początek roku szkolnego nie ma wpływu na zmniejszenie tłoku na Krupówkach w Zakopanem, tłumy zapelniają kawiarnie i restauracje, słychać wszystkie języki Europy, widać rewie damskich mód.

Oczywiście, co rozsądniejsi uciekają z tego zgiełku do górskich schronisk, do mniej „modnych” wsi podhalańskich i spędzają swój urlop nie na alkoholowo-bryzowej trasie między nocnym lokalem „Watra” a domami wczasowymi, lecz na górskich wycieczkach, na długich spacerach, na obcowaniu z przyrodą, która tu, jak nigdzie, ukazuje się w całym swym majestacie.

Zetknąłem się tu z młodymi ludźmi. Dla wielu z nich rzeczywistość dni, o których piszę, są ostatkiem wakacji i — co tu dużo gadać — z niechęcią myślą o powrocie do miasta, zajęć, nauki. Ale spot-

stwierdzić, że pokłady węgla na Lubelszczyźnie stwarzają korzystne warunki do eksploatacji górniczej.



PROSTO z POLSKI

Europejski unikat

Jedną z najciekawszych, a mało znanych osobliwości przyrodniczych Wybrzeża Gdańskiego jest unikalna (jeśli chodzi o rozmiary), na całym niżu europejskim, grotka skalna we wsi Mechów w pow. Puck. Pieczara ma 16 m długości, a maksymalna jej głębokość wynosi 10 m.

Z jaskiniami góorskimi nie może ona oczywiście konkurować, jednakże w warunkach nizinnych skład geologiczny i

charakter cieków wodnych nie sprzyjają powstawaniu grot. Mechowską grotę wyróżbił niewielki potoczek w zbrozu moreny dennej. Niedługo grotka mechowska była podobno połączona podziemnym chodnikiem z odległym o 10 km klasztorem w Żarnowcu. Przejścia tego nie udało się jednak odnaleźć. Sama grotka i jej najbliższe otoczenie stanowią ścisły rezerwat przyrodniczy.

Wytrwały piechur

„Kurier Lubelski” zamieścił rozmowę z najstarszym turystą-autostopowiczem, 83-letnim dr Aleksandrem Mielechem, uprawiającym turystykę od 65 lat. Przybył on specjalnie na ogólnopolski sejmik autostopu w Janowie Lubelskim.

Mówiąc o swych wyprawach wspomina spacer przez Kanadę do Halifaxu, aż po jej drugi krańiec. — Marsz ten odbył — jak mówi — „mając dopiero 41 lat”. Teraz najbardziej chwali sobie autostop,

mimo, że koledzy lekarze w Bydgoszczy, gdzie dr Mielech mieszka, stale mu to odradzają.

Ostatnie wędrówki są powtórzeniem pierwszej wyprawy z roku 1906. Dr Mielech podróżuje szlakiem swych wspomnień. W 1909 r. był zastępcą lekarza miejskiego w Sokółce. „Pragnę obejrzeć jak tam jest dzisiaj”.

Dr Mielech powędruje później na Mazury i pragnie kontynuować podróż do pierwszej go śniegu...

Na Podhalu sezon trwa

Pani inżynier

Kochają swoją pracę

kalem się i z innymi. Powiada do mnie młoda, 23-letnia (jak się potem dowiedziałem) panienka: — A mnie chciałoby się już wrócić do pracy. Wypocząłem przez trzy tygodnie, nalaziałam się po górach...

— Do pracy? — zapytałem — przecież pani chyba do szkoły chodzi? — Wyglądała rzeczwiście na podlotka.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Okazuje się, że żadna, nawet 23-letnia kobieta nie obraża się, jeżeli mówi się jej, iż młodo wygląda. Tak więc i tym razem, kiedy niechęć wypowiedziałam komplement, nie tylko nie uznano tego za faux pas, lecz na odwrót, zyskałem przychyłność pani (nie panny, bo była już mężatką) inżynier. I tak rozpoczęła się wieczorem w schronisku interesująca rozmowa. Poza panią inżynier, uczestniczyli w niej student medycyny z Warszawy i niemiecki młody robotnik-metalowiec z Drezna, który już trzeci raz przyjeżdża w Tatry, urzeczony ich pięknem.

Student powiedział do pani inżynier: — Tobie to dobrze, pięć lat studiów i już przyzwoity zarobek. Nasze studium trwa sześć lat, a potem praktyka i pensja niewielka.

METALOWIEC: — Pieniądze to nie wszystko.

STUDENT: — Jak się je ma...

GEOLOG DO STUDENTA: — To czemu wybrałeś medycynę, jeżeli tak narzekasz?

STUDENT: — To inna sprawa. Mnie zawód lekarza podoba się tak jak żaden inny. Zresztą, póki skończę studia, może i w naszym zawodzie będą lepsze zarobki.

METALOWIEC: — A jaką specjalność wybierzesz?

STUDENT: — Chirurgię. Wierzę w to, co widzę. Podczas praktyki w szpitalu nieraz widziałem, jak zabieg chirurgiczny ratował życie. A teraz chirurgia potrafi już cuda. Asystowałem przy przeszczepieniu nerki, i mówię wam, coś nadzwyczajnego...

GEOLOG: — Widzę, że i tobie już chce się wracać, mówisz o tym z takim zachwytem.

METALOWIEC: — Każdy chce odmiany. Tak i ja. Lubię tu do was przyjeżdżać, odpocząć, położyć się pod koniec urlopu ciągnie mnie do domu, do roboty, do kolegów w fabryce...

Wypiliśmy jeszcze po szklance śmietany na cześć spotkania w przyszłym roku.

Nic odkrywczego w rozmowie, którą przytoczyłem. Takie rozmowy toczą się wszędzie. Dlaczego jednak o tym napisałem? Jest bowiem coś charakterystycznego w tego typu pogawędkach. Chodzi mi o umiłowanie zawodu, bardzo typowe wśród młodych ludzi. Będą nawet narzekali, jak ten student, na to i owo, ale za żadne skarby nie wyrzekną się obranej drogi. I są wytrwali. Chcą coś osiągnąć w życiu i udaje im się to.

Będzie z tego pokolenia piecicha.

MARIAN

7 dni w skrócie

PARCZEW (Lubelskie) — W pobliżu tego miasteczka odkryto bogate złoża bursztynu czyli jantaru. Występowanie jantaru na Lubelszczyźnie nasuwa przypuszczenie, że ongi dochodziły tu wody Morza Czarnego, lub istniał jakiś naturalny kanał łączący to morze z Bałtykiem.

WROCLAW — W dzielnicy mieszkaniowej „Podmieście” buduje się najdłuższy w Polsce dom mieszkalny: w tym 10-piętrowym domu zamieszka 801 rodzin. A oto jego dane: długość 235 metrów, szerokość 16 m i wysokość 36 m.

TORUŃ (Bydgoskie) — Otwarto tu jedyną w Kraju i jedną z nielicznych w świecie — galerię plastyki dziecięcej. Do galerii nadchodzą rysunki dzieci z całej Polski. Powstanie z nich 50-tysięczny zbiór artystycznych prac najmłodszych malarzy.

JASLSKA (Rzeszowskie) — Odkryto tu długie podziemne korytarze. Podobno dawniej znajdowały się w nich składy win węgierskich.

LWÓWEK ŚLĄSKI (Wrocławskie) — Do składnicy ziłomu przywieziono „rozbrojoną” bombę lotniczą wydobytą przez saperów z dna jednej z dolnośląskich rzek. W czerepie bomby pracownicy składnicy odkryli... pszczyli rój. Niewypał, który miał być pocięty, podarowano mi-

szkańcom. Jeśli pszczoły go opuszczą, zostanie przewieziony do muzeum sapersa w Gozdowicach, gdzie w 1945 r. oddziały polskie forsowały Odrę.

WARSZAWA — Oświetlony reflektorami Pałac Wilanowski był wspaniałym tłem przedstawienia „Balety Królewskiej” w którym wystąpili tancerze Teatru Wielkiego Opery i Baletu. Do 4 września odbyło się siedem spektakli. Muzykę dawną reprezentował Zespół Kameralny „Jeunesse Musicale de Pologne — Pro-Musica”.

JEDLICZ (Rzeszowskie) — Przekazano tu do eksploatacji nowy oddział rafinacji olejów silnikowych.

CZERSK (Warszawskie) — Pracownicy naukowcy Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN wykopali tu na cmentarzystku bogato wyposażony grób z XII w. Na palcu szkieletu znaleziono złoty pierścień, a wewnątrz grobu miecz, groty strzał oraz młskę z blachy miedzianej.

RYDZYNA (Poznańskie) Osobliwością tego miasteczka uznano w całości za rezerwat architektoniczny jest XVIII-wieczny pałac, dawna siedziba Leszczyńskich i Sułkowskich. Zniszczony przez hitlerowców w 1945 r. jest obecnie remontowany i adaptowany na sanatorium dla dzieci.

GDĄŃSK — Z dna Zatoki Gdańskiej ekipy Polskiego Ratownictwa Okrętowego wydobły 3 wraki łodzi podwodnych. Zostaną one pocięte i przewiezione do Śląskich hut.

Gdańskie cegielnie dla... średniowiecza

Trzy cegielnie w województwie gdańskim, a mianowicie „Wiślinki”, „Bysewo” i „Syn-

nonimo” — wyspecjalizowały się w produkcji ceramicznych materiałów budowlanych na potrzeby... średniowiecza. Zakłady te, na zamówienie konserwatorów zabytków w Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie i Koszalinie podjęły się wytwarzania cegieł gotyckich i renesansowych oraz różnego rodzaju kształtek, jak dachówki, gzymsy itp.

W tym roku cegielnie dostarczą ok. 2 milionów sztuk tych nietypowych wyrobów.

Milionowa lodówka

Ostatni rok przyniósł radykalne zmiany w dziedzinie produkcji lodówek, zmniejszając dystans dzielący Polskę od innych krajów. Przemysł krajowy ma wyprodukować w bieżącym roku 420 tys. lodówek różnych typów i będzie obchodzić jubileusz wyprodukowania milionowej lodówki w Polsce.

Przemysł produkuje obecnie 16 typów lodówek o pojemności użytkowej: 40 litrów, 80, 160, 180, z urządzeniami absorpcyjnymi i sprężarkowymi.

Na rynku ukazały się nowe typy chłodziarek z agregatami sprężarkowymi o pojemności 120 litrów, 160 i chłodziarka absorpcyjna turystyczna 12 litrów, w dwóch wersjach: uniwersalna na butan oraz z grzałką elektryczną na 220 V, 12 V albo 24 V.

10-piętrowe kotły

Kotły energetyczne należą do kategorii maszyn najcięższych i największych. Niektóre z nich mają 51 metrów wysokości, a zatem są równe 10-piętrowym gmachom. Takie olbrzymy produkuje fabryka w Raciborzu.

Tegoroczną nowością są kotły przepływowe i „Cyklony”. Pierwsze są lżejsze od dotychczas produkowanych, drugie zaś ekonomiczniejsze, ponieważ spalają paliwo w niezwykle wysokiej temperaturze.

„Premierowy” kocioł przepływowy już działa w kombinacie papierniczym w Ostrołęce. Natomiast pierwszy „Cyklon” dostanie kopalnia „Mszczonica”. Każdy z tych energetycznych gigantów składa się z 250 tysięcy elementów spawalniczych.

Cmentarzysko sprzed 1000 lat

Ekipa pracowników muzeum regionalnego w Sieradzu kontynuuje rozpoczęte przed rokiem badania wielkiego cmentarzyska wczesnośredniowiecznego (koniec X w. — początek XI wieku) w wsi Brzeg w powiecie Podgórce. W zbadanych grobach znaleziono liczne przedmioty: noże, krzesiwa, ozdoby.

W czasie, kiedy cmentarzysko to było niejako grzebanią zwłok, wprowadzono już w Polsce chrześcijaństwo. W grobach w Brzegu brak jednak jakichkolwiek śladów pochowku religijnego.

Złoty medal dla plastyków

W Gualdo Tadino we Włoszech na VIII Międzynarodowym Konkursie Ceramiki duży sukces odnieśli polscy artyści plastycy: Krzysztof Hehisz i Bolesław Książek. Zgłoszony przez tę spółkę autorską paneau dekoracyjny uzyskało złoty medal.

Organizowany corocznie w Gualdo Tadino konkurs ceramiki uważany jest za jedną z poważniejszych tego rodzaju imprez w świecie.

Hehisz i Książek współpracują z zakładami ceramicznymi „Cepelia” w Lysej Górze koło Tarnowa.

Leśnik w spódnicy



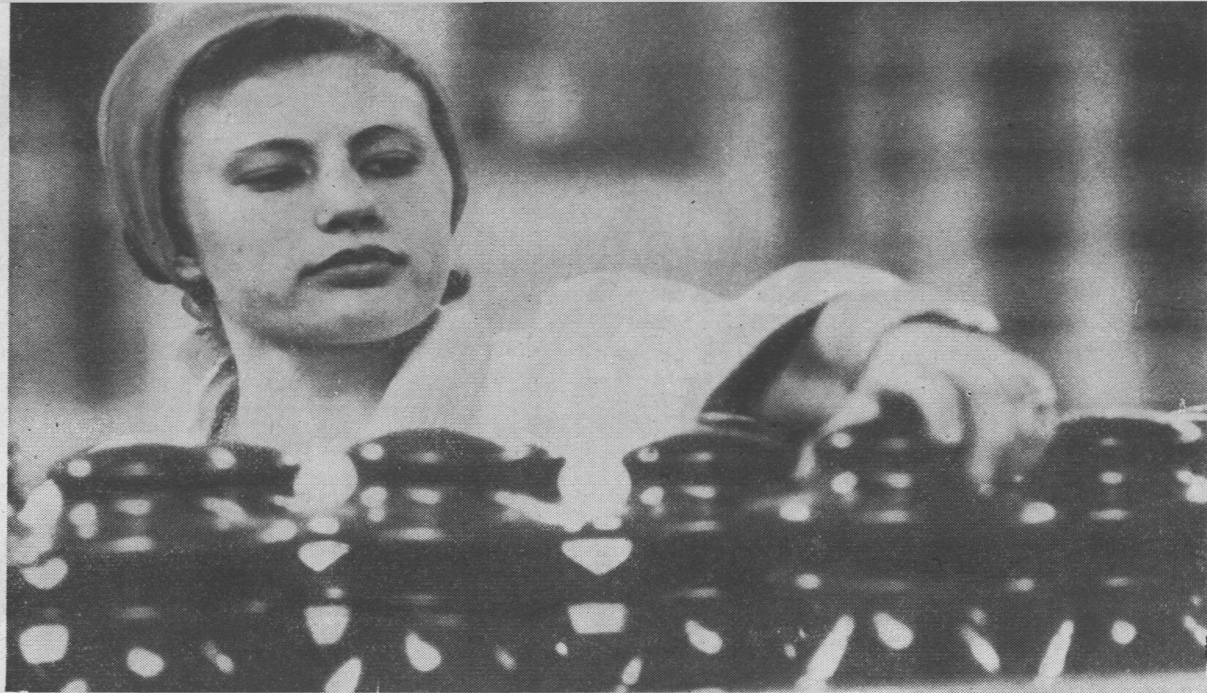
15 kilometrów dziennie przechodzi leśnik Stanisława Grzybowska, aby dojrzeć i dopilnować prac na podległym jej terenie. Jest ona jedną z nielicznych w Kraju kobiet-leśników, a sprawuje tę funkcję już od 17 lat. Pracuje w leśnictwie Dąbrowa koło Kętrzyna. Do specjalizacji tego rejonu należy przygotowanie sadzonek do zalesień, głównie dębów, jesionów i klonów. Leśnik Grzybowska jest również aktywną działaczką społeczną. Wyróżniona jest Złotą Odznaką „Zasłużony dla Warmii i Mazur”.

Pancerny ul

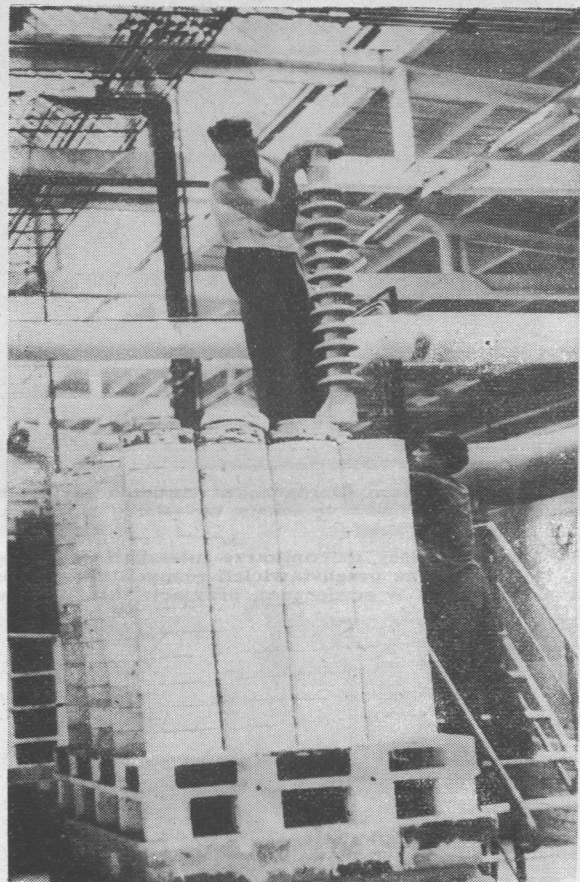
Wśród wielu eksponatów — pamiątek zachowanym z okresu forsowania Odry w Muzeum Sapersa w Gozdowicach — znajdują się również dwa rozbrojone niewypały lotniczych bomb powiatyckich. Każdy z nich ma prawie 1,5 metra wysokości.

Do jednej z bomb wprowadzili się niedawno pszczoły. Wykorzystały one otwory w bombie pozostałe po przestrzeleniu jej przez pociski karabinowe i... założyły sobie w jej środku ul. Pracowity pszczyli ludek znosi do wnętrza bomby-ula pyłek kwiatowy bez obawy, że plastyki miodu mogą być zabrane przez kogokolwiek, ul jest bowiem swego rodzaju kasą pancerną i aby dostać się do jego środka — trzeba by przeciąć go palnikiem acetylenowym.

Pancerny ul oraz jego mieszkanki — otoczone są opieką przez kierownictwo Muzeum Sapersa.



Przy produkcji porcelanowych urządzeń elektrycznych kontrola techniczna jest bardzo precyzyjna



Wytoczone na specjalnych maszynach izolatory w ceramicznych rurach wkłada się do pieców

BOGUCHWAŁA WIEŚ SZCZĘŚLIWA

LEŻY 11 KM OD RZESZOWA i ma opinię najbogatszej wsi w Polsce. A przy tym niebagatelna, bo pięć-wiekową tradycję istnienia i trochę ciekawych legend. Przez pierwsze 200 lat była to wieś nędzna, pełna chat kurnych, i nazywała się Pietraszkowa. Ale właściciel, miejscowy magnat, zapijaczony i grzeszny, gdy się rozliczał z Bogiem za pośrednictwem miejscowego plebana, dostał pokutę okrutną — kazano mu wybudować w swoich siołach trzy kościoły własnym sumptem. Pokornie wykonywał zlecenia kapłańskie, a gdy po wzniesieniu dwóch świątyni wybudował trzecią — ostatnią — w Pietraszkowej, westchnął z ulgą i powiedział: „Bogu chwała!” I tak od XVII wieku powstała nowa nazwa wsi.

Dziś choć Boguchwała nadal jest wsią, więcej w niej przemysłu niż w niejednym miasteczku. Bo pomyślcie — na 2 tysiące mieszkańców, miejscowy przemysł zatrudnia ponad 1700 ludzi dopożyczając ich sobie z pobliskiego Rzeszowa. Tutaj ma swą siedzibę największy w województwie Państwowy Ośrodek Maszynowy, zatrudniający pół tysiąca ludzi, a fabryka gwoździ, cegielnia, stacja selekcji roślin i stacja nasiennictwa, gdzie dokonuje się sztucznego zapładniania bydła, daje pracę dalszym 200 osobom. Największym jednak zakładem i od kilku miesięcy powodem do słusznej dumy, jest fabryka porcelany elektrycznej o wysokim standardzie.

Dzieje tego zakładu są właściwie bardzo skromne. Na rok przed wojną prywatny właściciel uruchomił kilkudziesięciosobowy pół-warsztat, pół-fabryczkę, w której zaczęto wyrabiać małe izola-

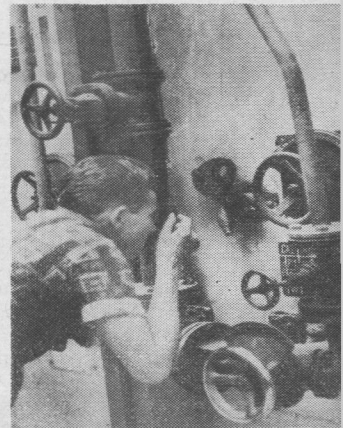
tory dla różnego rodzaju elektrycznych urządzeń. I tak produkowano je sposobem półchałupniczym aż do 1948 r. Po przejęciu fabryczki przez państwo przez dalsze 13 lat rozbudowywano zakład w sposób dość umiarkowany.

Ale od 1961 r. boguchwałowski zakład wyraźnie złapał drugi oddech. Nakładem kilkuset milionów złotych zbudowano tu kilka nowych hal i w pełni zautomatyzowanych ciągów produkcyjnych, sprządzając najnowocześniejsze maszyny z krajów mających w tej dziedzinie największe osiągnięcia. Dzisiaj zakłady w Boguchwałce zatrudniają 1000 osób, z których każda, aby stanąć na swoim miejscu przy skomplikowanej aparaturze, musiała najpierw przejść gruntowne przeszkolenie.

Od bieżącego roku pociągi i samochody rozwożą porcelanę przemysłową do wszystkich krajowych zakładów mających cokolwiek do czynienia z wysokimi napięciami. Ich roczna produkcja została obliczona na 7,5 tys. ton, co pozwoli na pełne pokrycie zapotrzebowania krajowego i jeszcze zostanie pewna niewielka nadwyżka dla odbiorców zagranicznych.

I tak to prawnukowie pańszczyźnianych chłopów, którzy grzesznemu szlachciurze pomagali swą półniewolniczą pracą wznosić kościół jako odkupienie za grzechy, dziś doglądają sprawnych spiekarni w gazowych piecach, których temperatura przekracza 1400°C, kontrolują pompy próżniowe wyciskające z porcelanowej masy najdrobniejszą pęcherzyki powietrza...

Zmienia się nie tylko psychiczna i społeczna struktura mieszkańców tej podrzeszowskiej wsi. Przeobrażeniom



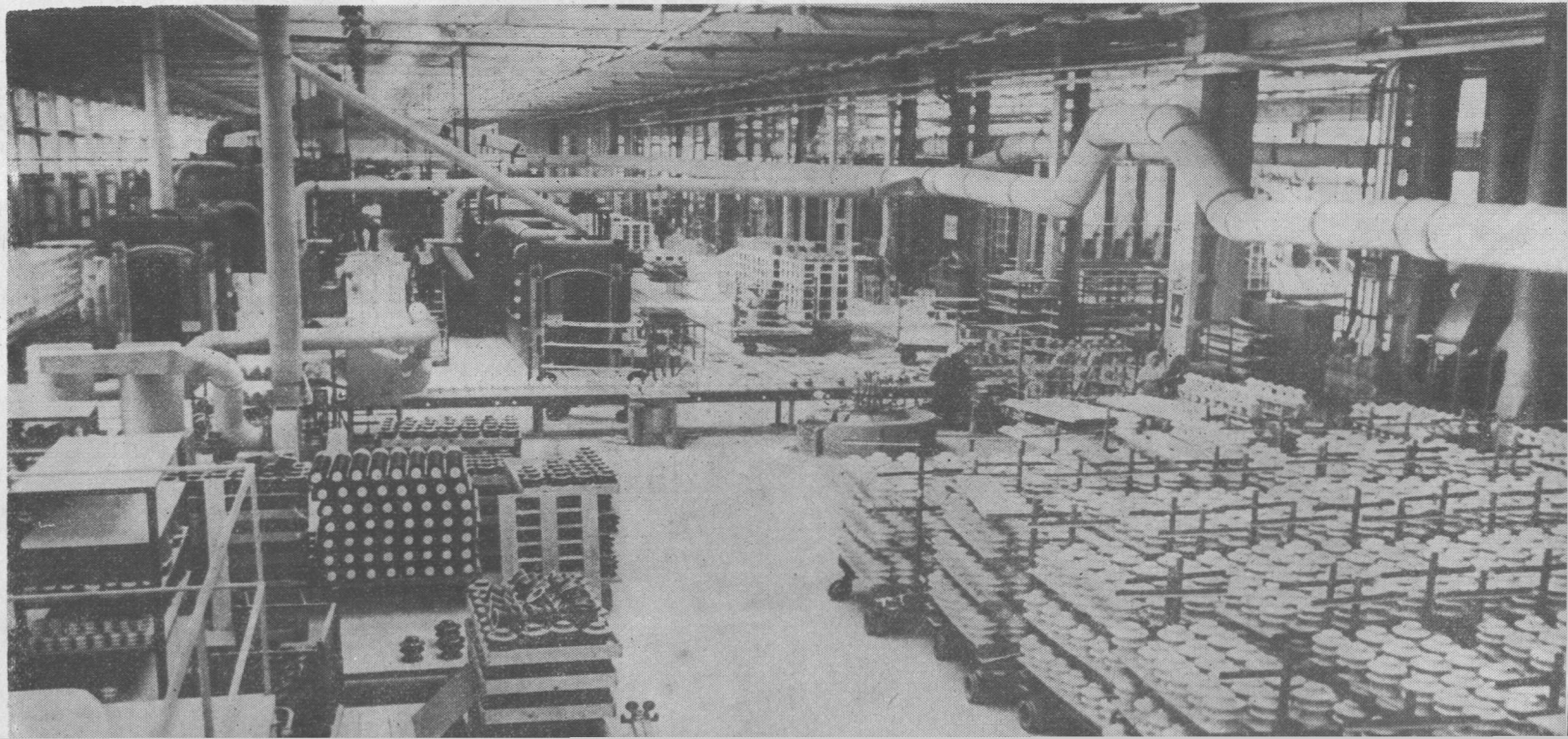
Wytrawny palacz bezbłędnie poznaje czy cykl spiekania odbywa się prawidłowo. Maria Wajda bada zachowanie się izolatorów pod napięciem

ulega i jej wygląd zewnętrzny. Obok małych, jednorodzinnych domków, wybudowanych tu za zarobki uzyskane w miejscowym przemyśle, zwarta grupa stanowi sześć nowoczesnych bloków o pastelowych barwach, a w niedługim czasie nowi lokatorzy wprowadzą się do trzech dalszych, obecnie budowanych. Jeszcze 15 lat temu jedyną rozrywką sportową dla chłopów pasących tu krowy była „nożna” zagrywana puszką od konserw, dzisiaj miejscowy, Ludowy Zespół Sportowy, szykuje się do uroczystego otwarcia stadionu z 5-tysięczną amfiteatralną widownią.

Na razie Boguchwała produkuje swe potężne, nieraz kilkumetrowe izolatory z surowca importowanego od sąsiadów Polski oraz ze Skandynawii. Czyni się jednak w okolicy bogatej w przeróżne glinki przemysłowe, szerokie poszukiwania, aby zmniejszyć a potem w ogóle wyeliminować te zakupy.

Trudno dziś mówić, że Boguchwała jest wizją przyszłości polskiej wsi, ale na pewno drobne małe fabryczki odpowiednio rozlokowane mogą i dają zatrudnienie ręką wolną od pracy na roli i stają się źródłem dodatkowych zarobków.

Gazowe piece tunelowe o temperaturze blisko 1,5 tys. stopni przez półtorej godziny nadają izolatorom odpowiednią twardość



AONZE KILOMETRES DE RZESZÓW, ce fut pendant des siècles un village déserté. Seul son nom attirait l'attention. Il y a quelque 300 ans, le seigneur de cette terre, pour expiation de ses péchés, dut construire trois églises. La dernière — à Pietraszkowa — une fois terminée, il s'écria „Dieu merci”. Et ce nom de Dieumerci (en polonais Boguchwała) resta désormais au village.

Aujourd'hui c'est le plus riche, paraît-il, de toute la Pologne. N'ayant que 2000 habitants, il compte ...1700 ouvriers d'usine. Certains viennent même du chef-lieu de la voïvodie. C'est d'abord le plus grand centre de machines agricoles de la région qui emploie 500 personnes; une usine de clous, une briquetterie, une station d'insémination et un établissement de sélection des graines donnent du travail à plusieurs centaines de personnes. Mais c'est une entreprise nouvelle, remplaçant des ateliers primitifs, qui joue le premier rôle, assurant un salaire à mille personnes. Construite en 1961, elle fournit 7500 tonnes de porcelaine industrielle (isolateurs) par an, vendue en Pologne et dans de nombreux pays étrangers: Suisse, Suède, Autriche, Italie, Syrie etc. Et le village avec ses maisons nouvelles, avec les six grands immeubles déjà construits et les trois autres en chantier, avec son stade de cinq mille places, avec ses magasins ressemble déjà bien plus à une petite ville.

NA „COURS SUPERIEUR“ W SALI BALZAKA

W SALI NR 17 wszystkie miejsca zajęte. Studenci w różnym wieku i różnej narodowości z uwagą słuchają wyjaśnień prof. Barthelémy'ego. Tryb warunkowy — conditionnel — we francuskiej gramatyce nie jest łatwy ani dla studenta, który pochodzi z Polski, ani dla tych co przyjechali z Anglii, Szwecji czy też z Azji Środkowej...

„Au cas où il y aurait des sous-titres italiens j'irais au cinéma” — jak można inaczej wyrazić to zdanie? — pyta studentów prof. Barthelémy...

Piętro niżej w sali nr 7 prof. Erraint przed równie liczną grupą słuchaczy z wielu krajów świata tłumaczy różnicę między „un grand personnage, une personnalité, une grande personne”...

W sali Balzaka, na „cours supérieur” najbardziej zaawansowani w języku francuskim studenci słuchają w tym czasie wykładu prof. Certin...

Po przerwie obiadowej instytut zaludnia się znowu. Studenci przychodzą na ćwiczenia do laboratorium fonetycznego, gdzie słuchają tekstów francuskich i z kolei sami zapisują je na taśmie magnetofonowej, na ćwiczenia do prof. Hérault, u którego metodą audio-wizualną uczą się prawidłowej wymowy, na konwersację...

Tutaj, w Institut d'Etudes Françaises de Touraine w Tours, należącym do uniwersytetu w Poitiers, w ciągu całego roku na różnych kursach uczą się języka francuskiego studenci ze wszystkich krajów świata. Dość powiedzieć, że w ubiegłym roku uczyło się w Tours 2610 studentów 67 narodowości! A obecnie właśnie, podczas naszej wizyty w instytucie, spotkaliśmy 19 polskich dziennikarzy, którzy na kursie średnim lub wyższym doskonalili swą znajomość języka francuskiego.

— Już po raz czwarty — mówił wicedyrektor instytutu p. Sableaux — mamy u siebie polskich dziennikarzy. Co roku na jeden z kursów wakacyjnych przyjeżdża grupa polskich dziennikarzy — z każdym rokiem coraz liczniejsza. W 1963 roku po raz pierwszy przyjechało 10 dziennikarzy, a w tym roku jest ich 19. Wszyscy profesorowie są jak najlepszego zdania o znajomości języka i pracy polskich „studentów”...

Polscy dziennikarze krajowi na kursie prof. Barthelémy wśród przedstawicieli różnych narodowości. W pierwszym rzędzie siedzą (od lewej): Joanna Wyszowska z warszawskich „Szpilek”, Hanna Pstrokońska z „Gazety Robotniczej” we Wrocławiu, Halina Orgielbrand-Pruefer z tygodnika „Przyjaciółka”, wychodzącego w Warszawie, Urszula Zawicka z poznańskiej telewizji i Krystyna Garlińska z tygodnika „Fundamenty”

— Bardzo się cieszymy, że przyjeżdżają do instytutu Polacy — dodał prof. Certin. — Bardzo dobrze pracują nad językiem, dużo umieją. Z kontaktów z Polakami bardzo jesteśmy zadowoleni...

Polscy dziennikarze natomiast są pełni uznania i wręcz wzruszeni serdecznością, z jaką spotkali się ze strony dyrekcji instytutu.

— Od pierwszej chwili, gdy wysiedliśmy na dworcu w Tours z pociągu — mówią — gdzie oczekiwał nas sekretarz instytutu p. Grenard, odczuwamy bardzo dużo serdeczności i troskliwości na każdym kroku. Ogromnie dużo skorzystaliśmy podczas naszego pobytu w Tours, wiele nauczyliśmy się, no i tak dużo widzieliśmy.

Chambord, Blois, Amboise, Chenonceau — padają nazwy pięknych malowniczych zamków nad Loarą, Mont Saint-Michel, który zachwycił polskich dziennikarzy, Poitiers...

Do tych miejscowości i wielu jeszcze innych, pod kierunkiem profesorów, instytut zorganizował wycieczki. Były one okazją dla polskich dziennikarzy nie tylko bliższego poznania historii i kultury francuskiej, ale również nawiązania przyjaznych kontaktów ze studentami z innych krajów.

Pod koniec kursu, tradycyjnym już zwyczajem odbyło się przyjacielskie spotkanie dyrekcji instytutu z polskimi dziennikarzami.

— Mam nadzieję — mówił do polskich dziennikarzy wicedyrektor Sableaux — że Wasz pobyt w Tours był owocny, że tutaj, w Turenii, która słynie z najczystszej polsko-francuskiej, wzbogaciliście i udoskonaliście znajomość języka...

Serdeczne słowa podziękowań za naukę, za serdeczność padały z ust polskich dziennikarzy, zapewnienia, że pobyt ich w instytucie był bardzo owocny i bardzo ciekawy.

Do toastu wzniesionego przez wicedyrektora Sableaux za pomyślność ojczyzny, polskich dziennikarzy, za przyjaźń polsko-francuską i serdeczne kontakty między obu krajami, polscy dziennikarze dodali:

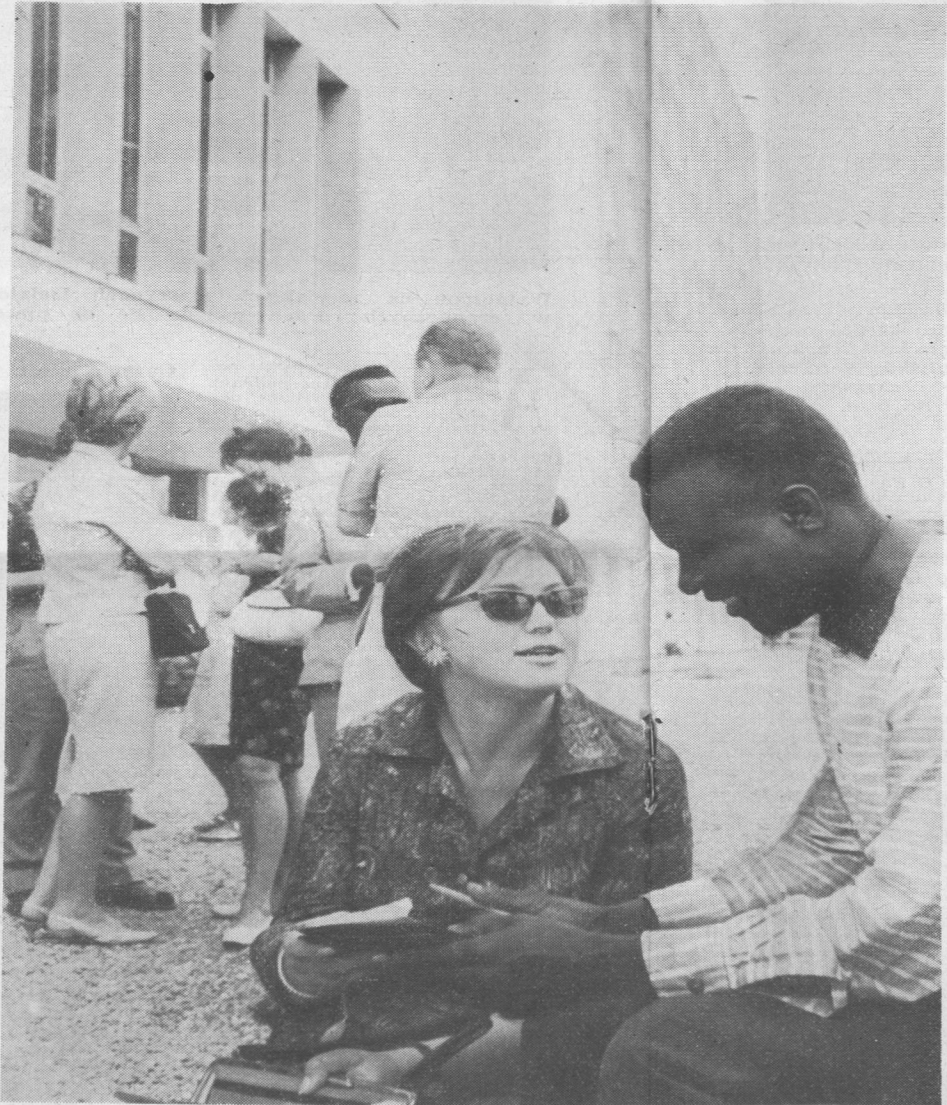
— Za pomyślność instytutu! Za przyjaźń między Francją i Polską!

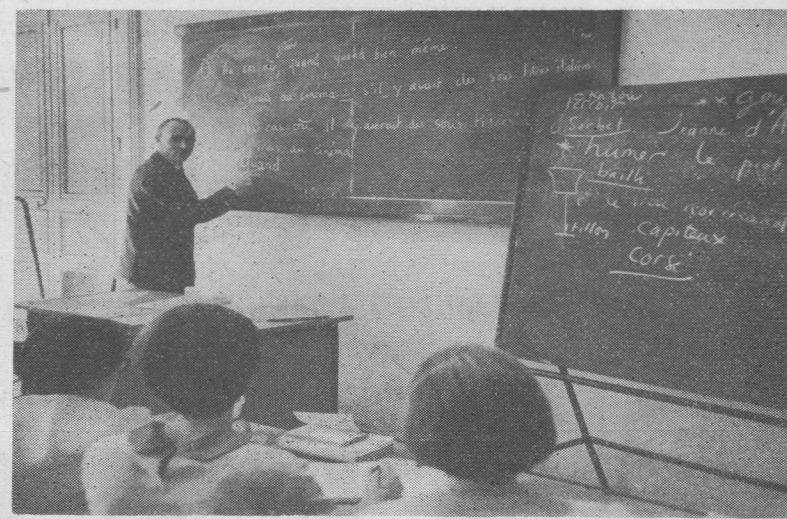
Urszula KOZIEROWSKA



W laboratorium fonetycznym studenci instytutu przesłuchują teksty nagrane na taśmę. Z kolei nagrywają te teksty we własnym wykonaniu. Jest to doskonała, nowoczesna metoda nauki języka.

Wszyscy polscy dziennikarze mieszkali w nowoczesnej Cité Universitaire. Spotkanie było można przedstawicieli różnych narodowości. Na zdjęciu poniżej p. Kulbacka z Warszawy w serdecznej, przyjacielskiej rozmowie z Simon Sonia Pauli z Ghany



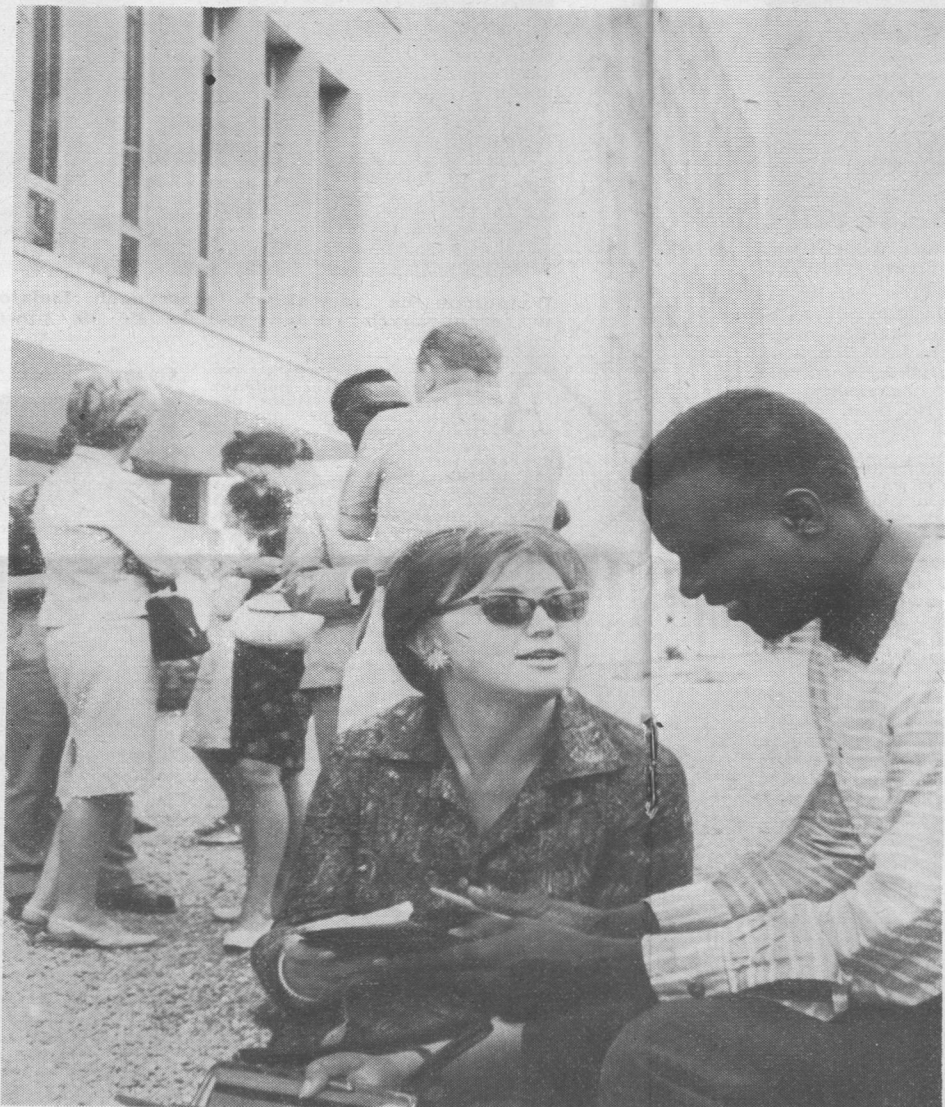


Na kursie średnim (zaawansowanym) prof. Barthélémy wyjaśnia tajniki francuskiej gramatyki. Poniżej: w sali Balzaka, na kursie wyższym, słuchają uwag prof. Certin i polscy dziennikarze (od prawej) — red. Ciochoń ze Szczecina, z Zachodniej Agencji Prasowej, Tadeusz Martychewicz z „Głosu Koszalińskiego” i Zina Myszczyska-Flatau z „Gazety Poznańskiej” w Poznaniu



W laboratorium fonetycznym studenci instytutu przesłuchują teksty nagrane na taśmę magnetofonową, by je następnie powtórzyć możliwie najbardziej poprawnie. Z kolei nagrywają te teksty we własnym wykonaniu. Jest to doskonała, nowoczesna metoda nauki języka, pozwalająca na kontrolę poprawności wysławiania się

Wszyscy polscy dziennikarze mieszkali w nowoczesnej Cité Universitaire. Spotkanie było można przedstawicielami różnych narodowości. Na zdjęciu poniżej p. Kulbacka z Warszawy w serdecznej, przyjacielskiej rozmowie z Simon Sonia Pauli z Ghany



TOURS est devenu une ...tour Babel. L'Institut d'Etudes Françaises de Touraine organise des cours de langue française pour les étrangers. Qu'il suffise de dire que 2610 personnes de 67 nationalités y ont étudié le français l'an dernier. Divers niveaux sont prévus, selon les connaissances déjà acquises. En visitant l'Institut, nous avons rencontré, entre autres, dix-neuf journalistes polonais inscrits aux cours moyen et supérieur. C'est la quatrième fois — nous dit M. Sableaux, directeur-adjoint — que nous avons chez nous des journalistes polonais. Les premiers — ils étaient dix — sont venus en 1963. Nous sommes heureux de recevoir des Polonais — ajoute le prof. Certin — Ils travaillent beaucoup, font preuve de larges connaissances... Quant aux journalistes polonais, ils sont émus de l'accueil qu'on leur réserve ici. Ils profitent énormément des cours et ne manquent pas de visiter les châteaux de la Loire, de pousser une pointe jusqu'au Mont-Saint-Michel, grâce aux excursions que l'Institut organise pour les étudiants. Chaque fois, c'est un mois bien rempli, où l'utile se joint à l'agréable, où tout sert à renforcer cette traditionnelle amitié qui unit Français et Polonais.

Pani Joëlle Pessiot, kierowniczka „laboratoire phonétique” sprawdza postępy w języku francuskim red. Biesiady z magazynu geograficznego „Poznaj świat”



Na górnym zdjęciu wicedyrektor instytutu p. R. Sableaux otrzymuje od polskich dziennikarzy na pamiątkę pięknie rzeźbioną kasetkę. Zdjęcie poniżej pochodzi z tradycyjnego spotkania dyrekcji instytutu z polskimi dziennikarzami, na którym oczywiście nie mogło zabraknąć toastu za rozkwit przyjaźni francusko-polskiej





JEUNES LA POLOGNE VOUS INVITE

WYMIANA GRUP MŁODZIEŻY szkolnej, pracującej i studenckiej między Francją a Polską datuje się od roku 1957, kiedy to po raz pierwszy poprzez „Juventur” — Bureau de Tourisme de la Jeunesse w Warszawie — przyjechało do Francji stu kilkudziesięciu młodych Polaków, zrzeszonych w krajowych organizacjach młodzieżowych. Wówczas też, około stu Francuzów: robotników, techników, uczniów i studentów wyjechało po raz pierwszy na pobyt do Polski. Od tego czasu kontakty i obopólne korzyści turystyczno-krajoznawcze polskiej i francuskiej młodzieży rozwijają się ku zadowoleniu młodzieży obu stron.

We Francji głównymi organizatorami wyjazdów młodzieży do Polski — a zarazem głównymi kontrahentami polskiego „Juventuru” — są: „Loisirs et Vacances”, „Centre de Coopération Culturelle et Sociale”, „Jeunesse et Reconstruction”, „Centre des Voyages de la Jeunesse Rurale”, „Organisation Centrale des Camps et Activités de Jeunesse et de Tourisme Populaire”. Również inne zrzeszenia i organizacje francuskie, jak „Association Départementale des Auberges de la Jeunesse de la Drôme”, „Bureau International de Voyages et d'Echanges” z Paryża, „Institut Technique Roubaisien” z Roubaix oraz kilka innych, głównie spoza Paryża, każdego roku przygotowuje pożyteczne wyjazdy do Polski. Uczestniczy w nich niejednokrotnie młodzież polskiego pochodzenia.

Co proponuje młodzieży z Francji i innych krajów Biuro Zagranicznej Turystyki Młodzieży „Juventur”? — Na to pytanie wypowiedzi udzieli dyrektor naczelny „Juventuru” p. Władysław Czepulski.

— Drodzy Przyjaciele! W programie pobytu w Polsce możecie zaspokoić wszystkie swoje turystyczne zainteresowania. Czekają na was międzynarodowe obozy wypoczynkowe, położone w najbardziej malowniczych i atrakcyjnych zakątkach Polski; w Gdyni, Giżycku, Karpaczu, Międzyzdrojach

i Swinoujściu, a więc macie do dyspozycji cały Kraj — od Tatr i Karkonoszy poprzez jeziora mazurskie, do Bałtyku. Podczas pobytu będziecie świadkami codziennego życia społecznego, ekonomicznego i kulturalnego Polaków. Ponadto możecie wybrać sobie dowolną trasę, np. kilka miast polskich, w których zaznajomicie się z zabytkami kultury i sztuki, historią i dzisiejszym obliczem ich życia; możecie wybrać trasy, miejscowości oraz specjalne dziedziny, które was szczególnie interesują, np. budownictwo, przemysł, rolnictwo, muzea, folklor, sztukę współczesną itp. itp.

W sezonie letnim 1966 spośród kilkuset grup młodzieży z 21 krajów, jakie przybyły do Polski, kilkadziesiąt grup stanowili Francuzi i Belgowie. Tak na przykład „Juventur” gościł 32-osobową wycieczkę młodych inżynierów chemików i techników z Bordeaux i innych miast departamentu Gi-



Młodzi turyści z Francji, Belgii i innych krajów, korzystający z usług „Juventuru”, nawet w centrum Warszawy mają do dyspozycji ośrodki wypoczynkowy z basenami, natryskami i miejscem gier sportowych

Wszystkie formy wypoczynku podczas tournée po Polsce są dozwolone — stwierdza kierownik wycieczki francuskich chemików z Bordeaux (stoi w półobrocie z prawej koło p. Bernarda Lagarde, z papierosem)



EN POLOGNE „Juventur” — Bureau de Tourisme de la Jeunesse, en France plusieurs organismes dont „Loisirs et Vacances”, Centre de Coopération Culturelle et Sociale”, „Jeunesse et Reconstruction”, „Centre des Voyages de la Jeunesse Rurale”, „Tourisme Populaire” et d'autres encore restent mutuellement en contact pour l'organisation de voyages de jeunes Polonais en France et de jeunes Français en Pologne. Les premiers échanges de jeunes ouvriers, techniciens, élèves et étudiants datent de 1957. Depuis, chaque année ces échanges sont nombreux. En 1966 „Juventur” a reçu en Pologne plusieurs centaines de groupes venus de 21 pays, dont évidemment la France et la Belgique. L'un d'eux était composé de 32 jeunes ingénieurs chimistes et techniciens de Bordeaux et d'autres localités de la Gironde. L'excursion avait été organisée par la Cité Universitaire de Talence. Les jeunes Français ont visité le combinat chimique d'Oświęcim, les „Azotes” de Chorzów ainsi que des instituts scientifiques. Ils ont aussi visité Katowice, Cracovie, Poznań. D'autres groupes ont fait du tourisme „pur”, séjournant dans un des camps internationaux de la jeunesse, à Gdynia, Swinoujście et Międzyzdroje sur la Baltique, à Giżycko sur les lacs de Mazurie, à Karpacz dans les Sudètes. D'autres encore ont sillonné la Pologne. Tous ces voyages ont servi à mieux connaître un pays ami.

ronde, zorganizowaną przez Cité Universitaire de Talence.

Zgodnie z zawodowymi zainteresowaniami francuscy chemicy większość czasu poświęcili zwiedzaniu nowoczesnych obiektów przemysłowych polskiej chemii. Odwiedzili m. in. jeden z największych kombinatów chemicznych w Oświęcimiu, produkujący m. in. tworzywa sztuczne, gumę, kauczuk, oraz Zakłady Azotowe w Chorzowie, słynące od 50 lat z produkcji różnych związków azotowych.

Bezpośredni kontakt z rozwijającą się polską chemią dały spotkania z młodzieżą zatrudnioną w tych zakładach. Dokonano na nich wymiany doświadczeń i poglądów na najnowsze osiągnięcia w zakresie przemysłu chemicznego we Francji i w Polsce oraz omówiono możliwość wzajemnych kontaktów i współpracy młodzieży specjalizującej się w zagadnieniach chemii.

Dzięki sprawnej organizacji „Juventuru” grupa pod kierownictwem p. Jean-Pierre Stéphane odbyła kilka wycieczek i uczestniczyła również w kilku imprezach kulturalnych.

— Najmilej wspomina 3-dniowy pobyt w Chorzowie — mówi p. Jean Fourtillan z Bordeaux. — Mieszkaliśmy tam w świetnie zagospodarowanym, nowoczesnym hotelu Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego i wielkim pięknym parku. Każdy z nas miał duży wybór różnych atrakcji. Kupiliśmy się w tamtejszych basenach (różnej głębokości i rozmiarów), z których jeden z tych basenów miał nawet „oryginalne” fale morskie.

Jean Lehervet, Michel Lebedeff, Bernard Schel i Bernard Lagarde, jak i inni sympatycy sportu, szczególnie miło wspominają piękny stadion chorzowski, na którym rozgrywane są międzynarodowe zawody. Innym utkwili w pamięci pobyt w Poznaniu dokąd przyjechali prosto z Berlina:

— Podczas 3-dniowego pobytu w Poznaniu zwiedziliśmy zabytki architektoniczne, byliśmy w tamt. Ratuszu, muzeach, a także w zbudowanych ostatnio nowoczesnych osiedlach mieszkaniowych oraz

na terenach, gdzie rokrocznie odbywają się międzynarodowe Targi. Mieszkaliśmy w bardzo przyjemnym Międzynarodowym Hotelu Studenckim, gdzie wraz z grupą młodzieży belgijskiej uczestniczyliśmy w wieczorku taneczno-towarzystkim — wspomina p. Françoise Dobescat z Narosse.

14 lipca, święto narodowe — spędzili młodzi Francuzi częściowo w Chorzowie, a wieczorem — w Krakowie. W Krakowie zwiedzili Wawel, katedrę i najcenniejsze zabytki historyczne tego miasta. Odwiedzili studenckie kluby-piwnice itp. Stamtąd udali się do Oświęcimia, gdzie zwiedzili Muzeum Martyrologii i obejrzeli z dużym przejęciem film o zbrodniach hitlerowskich, dokonanych w obozie, po czym udali się do Zakładów Przemysłu Chemicznego.

Wycieczka skończyła się w Warszawie. — 12-dniowy pobyt w Polsce, to bardzo żywy i zmienny kalejdoskop wrażeń — zwierzył się p. Jean-Pierre Stéphane. — Czuliśmy się w Polsce wszędzie jak w domu. Gdy ponownie pojedziemy do Polski — a wielu z nas postanowiło bliżej poznać ten kraj — zatrzymamy się w nim dłużej.

Ten wózek z dzieckiem nie jest oczywiście ekwipunkiem turystycznym p. Jean-Philippe Bracheta z Bordeaux. Przypadkowe spotkanie z warszawianką chętnie utrwała jego francuski kolega, by mieć „dowody rzeczowe” dla koleżanek z Bordeaux



PAMIĄTKI ŻOŁNIERZY POLSKICH POD KRĘGIEM POLARNYM



K TÓŻ Z NAS NIE PAMIĘTA epopei Narviku? Polska Brygada Podhalańska okryła się tu chwałą, tocząc bohaterski bój z Niemcami w roku 1940. Żadna z formacji wojsk alianckich śpieszących wówczas z pomocą Norwegii nie wniosła tak dużego wkładu poświęcenia i nie pozostawiła po sobie tyle pięknych wspomnień co Polacy. Do dziś pozostali oni we wdzięcznej pamięci Norwegów, a tym, którzy polegli w obronie wolności tego kraju, oddawany jest hołd. Rząd Norweski, władze miejscowości, w których toczyły się walki, społeczeństwo norweskie otacza szacunkiem i opieką mogiły żołnierzy polskich.

Jedną z najpiękniejszych uroczystości jakie ostatnio miały miejsce w Norwegii, było złożenie urny z Podhala pod pomnikiem żołnierzy polskich w Narviku i przekazanie miejscowemu muzeum cennych darów upamiętniających braterstwo broni polsko-norweskiej. Dzięki Polakom w Krigsmuseum w Narviku obok militariów znalazł się m. in. ornat kapelana Brygady Podhalańskiej. Obecnie w Muzeum brakuje tylko autentycznego, kompletnego stroju polskiego żołnierza Brygady Podhalańskiej. Brygada formowana już we Francji posiadała charakterystyczne kombinowane umundurowanie. Czy u któregoś z byłych żołnierzy polskich, mieszkających obecnie we Francji nie znajdzie się stary mundur podhalańczyka, którym można byłoby uzupełnić polskie zbiory i pamiątki żołnierskie, taką troskliwą opieką otaczane przez przyjaciół Polski w Norwegii?

Opiekunowie polskich pamiątek w Norwegii za naszym pośrednictwem zwracają się do wszystkich Polaków we Francji. Jeśli ktoś ma taki mundur i gotów jest go ofiarować, niech napisze do Ambasady PRL w Oslo, Olav Kyrres Plass 1, Norge, albo wprost do Muzeum Wojny w Narviku na ręce dyr. muzeum p. Reinkjopa.



Na chwilę przed uroczystym odsłonięciem pomnika na ementarzu bohaterskich żołnierzy polskich w Narviku. Wśród obecnych przedstawicieli władz — delegacja Nowego Sącza na czele z przewodniczącym tamtejszej Rady Narodowej — p. Kazimierzem Węglarskim



Powyżej: hełm podhalańczyka. Z lewej proboszcz John Johnstad z jednym z darów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie ornatem kapelana Brygady Podhalańskiej. W chwilę później pastor Johnstad rozplakał się ze wzruszenia twierdząc, że przez wiele lat czekał, aby w Muzeum obok militariów znalazł się eksponat o charakterze „cywilnym” i dopiero Polacy spełnili jego wieloletnie marzenia i oczekiwania. Pastor John Johnstad był w czasie okupacji aktywnym uczestnikiem Ruchu Oporu, działał m.in. w prasie podziemnej



Burmistrz Ankenes p. Ola Andreasen opowiada delegacji Nowego Sącza o przebiegu bitwy o Narvik w 1940 r. i udziale w niej Polaków. Obok sekretarz Ambasady PRL w Oslo Janusz Kochański. W głębi pomnik ufundowany przez rząd norweski ku czci poległych żołnierzy



Moment uroczystego przekazania protokołu daru Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie dla Krigsmuseum w Narviku. Protokół przekazuje sekretarz Ambasady PRL w Oslo Janusz Kochański na ręce zastępcy nieobecnego dyrektora Muzeum Reinkjopa. Obok delegacja Nowego Sącza na czele z przewodniczącym Rady Narodowej miasta p. K. Węglarskim

Na ementarzu żołnierzy polskich w Haakvik (Ankenes) członkowie delegacji Nowego Sącza odczytują nazwiska poległych żołnierzy polskich z tablic rozmieszczonych wokół pomnika, który rząd norweski ufundował w 1957 roku



Zdjęcie przedstawiające moment dekoracji przez gen. Wł. Sikorskiego Krzyżem Virtuti Militari bohatera Norwegii generała majora Carl Gustaf Fleischera, który zginął tragicznie już po II wojnie światowej. Poniżej — pod pomnikiem w Haakvik, ku czci poległych Polaków w obronie wolności tego kraju, uroczyste pieśni narodowe śpiewa miejscowy chór dziewcząt ubranych w regionalne stroje ludowe



■ NOUVELLES ECLAIR ■

▲ Plus de douze mille touristes scandinaves ont profité au cours de juillet et d'août du car-ferry qui relie Ystad en Suède à Świnoujście en Pologne. La plupart ont passé leur vacances dans une des stations balnéaires polonaises sur la Baltique.

▲ Avec la mise en route du second train de fabrication, le combinat d'engrais nitriques de Puławy, fournit depuis le 1-er septembre 1000 tonnes d'urée par jour. D'ici à la fin de l'année la production journalière atteindra 1500 tonnes.

▲ Les coopératives du logement des enseignants sont en Pologne très actives, d'autant plus qu'elles jouissent de privilèges spéciaux. A Bydgoszcz, la coopérative „Znicz” (Le Flambeau) a entrepris la construction de quatre immeubles de 11 étages qui compteront au total quelque 280 appartements de 2 et 3 pièces, ainsi que d'un beau „Club des Instituteurs”.

▲ Le m/s „Mazowsze”, bateau pavillon de la „Flotte Blanche” (composée de petites unités pour des excursions sur la Baltique), refuse du monde. Dans cette saison, il a effectué 15 croisières de Gdańsk à Riga et Lenigrad, 2 de Gdańsk à Rostock, 4 de Gdynia à Świnoujście.

▲ Les forages effectués dans le bassin de Lubin ont révélé que les minerais de cuivre contiennent aussi des traces plus ou moins importantes d'autres métaux: argent, nickel, zinc, plomb, vanadium, molybdène, gallium, rhénium, germanium etc. Les premiers essais ont prouvé que l'argent et le nickel pourront être extraits pendant la transformation du minerai. L'exploitation industrielle des autres métaux fait actuellement l'objet d'études en laboratoire.

▲ L'usine d'aluminium de Konin, la seconde en Pologne après Skawina, fournira encore cette année dix mille tonnes de métal blanc. Rappelons que l'usine est construite sur une licence française.



Les artisans de Zakopane figurent parmi les principaux fournisseurs de magasins qui en Pologne et à l'étranger vendent des articles folkloriques polonais. Ci-dessus: des tisserandes livrent des „kilims” (servant de tapis ou de tapisseries) qu'elles ont confectionné à domicile

DES SPECTROPHOTOMETRES ULTRARAPIDES POLONAIS

L'étude des spectres d'absorption se fait le plus souvent à l'aide de spectrophotomètres qui mesurent l'intensité de la lumière à tous les points choisis du spectre. Cependant les appareils utilisés jusqu'à présent ont un champ d'application par trop limité et l'analyse du spectre est trop lente en rapport aux exigences des laboratoires et de l'industrie.

DANS CE DOMAINE les savants polonais ont deux succès notables à leur acquis. En 1961 et 1965 le prof. Z. R. Grabowski et le dr J. Koszewski de l'Institut de Chimie Physique à Varsovie ont construit un spectrophotomètre ultrarapide puis sa version industrielle — un spectrophotomètre électronique.

Ces appareils perfectionnés, uniques à ce jour, sont munis de circuits électroniques spéciaux et tracent immédiatement les lignes du spectre en indiquant les résultats de l'analyse directement sous forme numérique.

Un important perfectionnement est l'utilisation d'une source lumineuse entièrement dépourvue d'inertie mécanique. C'est un point lumineux sur l'écran d'un tube oscillo-

graphique. Le faisceau d'électrons qui provoque la luminescence du luminophore sur l'écran a une inertie mécanique pratiquement nulle. Ceci assure — chose impossible auparavant — une synchronisation parfaite des mesures avec le déroulement de la réaction étudiée et permet d'obtenir jusqu'à 20.000 spectres par seconde.

Ces avantages sont particulièrement appréciables dans l'étude de la cinétique des réactions photochimiques pour laquelle on adjoint à l'appareil un dispositif „flash”. En quelques millièmes de seconde, l'appareil enregistre des dizaines de spectres visibles directement sur l'écran ou emmagasinés dans une mémoire magnétique qui permet ensuite de choisir n'importe lequel des spectres et de l'étudier à loisir.

Le spectrophotomètre électronique a plus de valeur pour l'industrie. Cet appareil entièrement automatisé fournit les résultats de l'analyse sur l'écran du kinéscope, sous forme d'un diagramme (courbe) continu, immédiatement après que l'échantillon étudié ait été placé sous „l'objectif”.

La courbe de la transmission ou de l'absorption de la lumière, en fonction de la longueur d'onde, peut être obtenue sous forme de coordonnées rectangulaires, linéaires ou toutes autres voulues. Le service de ce spectrophotomètre est excessivement simple. L'automatisation totale des mesures fait qu'il suffit de couper les indices lumineux à n'importe quel point de la courbe pour obtenir immédiatement les valeurs numériques correspondantes.

Cet appareil peut être mis en place à n'importe quel point des processus de fabrication continus et partout où l'action humaine dépend de l'obtention rapide des résultats de l'analyse (dans les cliniques p.ex.). Dans le cas

des lignes de fabrication automatisées il convient de le coupler à des servo-mécanismes qui commandés par les signaux du spectrophotomètre maintiennent une valeur constante des paramètres du processus.

L'appareil permet également la mesure calorimétrique et celle des indices de réfraction.

Afin d'éviter toute correction de la dispersion spectrale des tensions de la lumière primaire, on a introduit dans les deux appareils un circuit de commande électronique, basé sur un accouplement à contre-action de la source lumineuse et d'un capteur photoélectrique ce qui permet d'obtenir une tension maxima des différentes parties du spectre.

La lecture peut se faire en valeurs absolues ou en rapport à un point de référence dans un système à double flux, sans qu'il soit nécessaire de couper ou de débrancher le flux lumineux — ce qui constitue un énorme avantage.

La fabrication en série de tels spectrophotomètres a été entreprise en Pologne. (A.A.)

Une machine-outil sous la voie ferrée

Bien souvent, assis dans notre compartiment d'un train rapide, nous ressentons un langage exagéré accompagné du bruit des roues désagréables à l'oreille. L'état des voies n'est pas toujours en cause. La faute en revient souvent à l'usure des bandages de roues, usure actuellement accentuée par l'allure toujours plus rapide des convois. Il faut alors procéder à la régénération des roues.

En soi-même l'usinage des roues et des essieux montés n'est pas une chose compliquée. De grosses machines-outils y sont spécialement destinées. Une des plus grandes usines les fabriquant se trouve en Pologne, à Racibórz.

Mais la régénération des roues, ou plutôt des bandages est une opération bien plus compliquée. Les wagons doivent être amenés à pied d'oeuvre, leurs essieux sont démontés, les roues usinées etc. L'opération est doublement onéreuse — en raison des frais d'usine et du manque à gagner résultant de l'arrêt prolongé des wagons, des locomotives et autres engins de traction. Plus le matériel est perfectionné — diesel et surtout locomotives électriques — plus ces frais s'accroissent.

Les constructeurs de l'usine „Rafamet” à Racibórz on su y remédier. Leur tour UGA 170 permet de rectifier les bandages des roues sans démontage, étant installé sous la voie. Les wagons ou engins de traction pénètrent sur rails dans l'atelier de réparation et le tour entre en action par le bas. Le tour UGA 170 permet la rectification des essieux montés de tous les types de wagons et de locomotives pratiquement en usage, quel que soit l'écartement des roues.

La précision des opérations est poussée à l'extrême, entre autres par l'application d'un dispositif automatique à copier et d'une commande électrique.

Il va sans dire que le tour à essieux montés UGA 170 a été breveté dans tous les pays.



50 milliards de zlotys dans les caisses d'épargne

Au 31 juillet, les dépôts dans les caisses d'épargne polonaises ont atteint 50 milliards 318 millions de zlotys. Depuis le début de l'année, l'augmentation a été de 5 milliards 700 millions, dont 622 millions déposés au cours du seul mois de juillet.

A titre de pourcentage et de primes, les épargnants recevront cette année 752 millions de zlotys ainsi que 2179 voitures de tourisme, 336 motocyclettes, 127 cyclomoteurs et 120 excursions à l'étranger. Comme quoi, il vaut mieux être fourni que cigale...



„Mister Ed” parle le polonais grâce aux studios de dubbing

Il y a dix-sept ans, dans de locaux de fortune, s'ouvrait le premier studio polonais pour le „dubbing” des films étrangers. Depuis, il a été modernisé, agrandi et doté d'équipements perfectionnés.

Actuellement on y procède chaque année à la préparation des versions polonaises de 40 films, soit le quart de ceux qui paraissent sur les écrans. Le doublage concerne évidem-

ment surtout les films au dialogue particulièrement touffus que les sous-titres ne sauraient rendre.

Depuis quelques années, le studio travaille également pour la télévision. Les télé-spectateurs sont en effet bien plus nombreux et si les statistiques indiquent que chaque film au cinéma est vu par un million de personnes, les films, projetés sur le petit écran en comptent sept fois plus.

Pour ce travail, les spécialistes du studio ont élaboré une méthode de doublage simplifiée et rapide qui leur a valu un prix du ministre de la culture. Cette année 40 films pour la TV ont été doublés, pour l'an prochain on en prévoit déjà 250.

C'est grâce au studio que les spectateurs ont pu suivre sur le petit écran en polonais les péripéties de „Mister Ed” (feuilleton connu également des téléspectateurs français). Dans sa version polonaise, le rôle de cheval qui parle était tenu par Kazimierz Wichniarz (en lunettes) tandis que son maître avait la voix du populaire Wieńczystaw Gliński.

Już w pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej Kraj podjęte zostają akcje podziemne ruchu oporu. Grupy działaczy lewicowych przystępują do organizowania walki z wrogiem i formowania oddziałów partyzanckich. Działalność ta rozszerza się z chwilą powstania Polskiej Partii Robotniczej. Oddziały zbrojne podejmują szereg śmiałych akcji. Rośnie siła i liczebność armii podziemnej. Skoncentrowane siły ruchu partyzanckiego na Lubelszczyźnie podejmują na przełomie lat 1943 i 1944 regularną wojnę partyzancką. Oddziały Armii Ludowej, osłabiając hitlerowskie zaplecze frontu wschodniego, prowadzą akcje odwetowe za terror i zbrodnie okupanta. W walce ze zniechęconym wrogiem rodzi się jedność czynu zbrojnego różnych ugrupowań ruchu oporu. Partyzanci podejmują coraz śmielsze operacje bojowe. Ginie wielu żołnierzy ruchu oporu. W walce o wolność oddają życie całe rodziny. Walka zbrojna potęguje się. W roku 1944 powstaje prawdziwy front partyzancki na terenach wschodniej Polski. Polscy partyzanci współdziałają tu skutecznie z radzieckimi partyzantami. Pełny ośrodek ruchu partyzanckiego powstaje na Kielecczyźnie.

— Oto moja armia — przedstawił młodych partyzantów „Suchy”. — Jest wśród nich również podporucznik „Chmura”. Już od dawna prosił mnie, by go wziąć do oddziału. Niezły chłopak. „Chmura” — podniósł głos — pozwól no tu, do nas!

Młody, sympatyczny człowiek zjawiał się natychmiast i po wojskowemu zameldował swoje przybycie.

Podczas rozmowy z „Chmurą” — Bolesławem Łazarskim — doszliśmy do wspólnego wniosku, że lepiej pasuje doń mniej poważny pseudonim, czyli po prostu „Chmurka”. Od tej chwili nazywaliśmy Łazarskiego porucznikiem „Chmurka”.

W pewnej chwili zbliżył się do nas „Saszka” i szepnął mi na ucho, że rozmawiał z Lublinem i otrzymał nową szyfrowkę. Z jej treści wynikało, że samoloty będą u nas około północy. Przylecieć miały trzy *Douglasy*. Lublin życzył sobie, aby po odbiorze zrztu podać przez radio ilość odebranych worków.

Nowo przybyli z garnizonu towarzysze „Suchego” zostali oddani pod opiekę starym AL-owskim wygom. Oni właśnie powiadomili nowicjuszy, że tej nocy zostanie odebrany zrztu broni i że trzeba przygotować się do wielkiej roboty.

— Będziecie zwozić worki i czyścić broń. Frajda nie z tej ziemi! Na każdej pepeszy kilo smaru potrzebego do kuchni!

Dla adeptów partyzantki była to wiadomość niemal zaskakująca. Nie przypuszczali wcale, że już pierwszego dnia staną się uczestnikami tak interesującej operacji, o której dotąd zaledwie slyszeli.

— Czy aby na pewno przylecą? — upewniali się raz po raz.

— Dlaczego mieliby nie przylecieć? Tak zostało ustalone.

— Ale wiecie... Front... Mają tam swoje kłopoty... Zresztą Niemcy...

— O Niemców to już się nie martwicie, niech się oni sami o siebie martwią — odpowiadali leśni wydawcy.

Wreszcie, kiedy wszystkie już wątpliwości zostały rozwiane, ze zdwojoną energią i gorliwością przystąpili wszyscy do wykonania swych zadań.

Powoli zbliżała się północ. Miłkiły ożywione rozmowy, z uwagą wsłuchiwało się w odgłosy, które niosła noc.

Siedzieliśmy wpatrując się w nikły żar ogniska. Każdy teraz myślał o jednym i tym samym: „Czy wszystko odbędzie się zgodnie z przewidywaniami?”

W pewnej chwili skądś z daleka echo przyniosło serię wystrzałów.

— Biją z „diektiaru” — ktoś próbował określić bliżej broń, z której prowadzono ogień.

Jeśli to był w istocie erkaem Diegtiariewa, nasi gdzieś „pozdrawiali” hitlerowców. Wsłuchiwałam się w echo wystrzałów, oczekując kolejnej serii. Las milczał jednak, cisza dzwoniła w uszach.

Wreszcie!

Gdzieś nad wierzchołkami drzew pojawił się przylumiony warkot silników lotniczych. Wzmagali się z każdą chwilą. Samoloty nadlatywały punktualnie.

Zapłonęły w określonych miejscach ogniska. Warkot silników słycał być już nad polaną.

Pierwszy samolot zapalił zielone światła, w odpowiedzi wystrzeliliśmy zieloną rakietę. Teraz dopiero rozpoczęło się widowisko, na które czekaliśmy z taką niecierpliwością.

Na polanie zrobiło się jasno jak w dzień. Z daleka widać było sylwetki naszych chłopców, którzy wpatrywali się w samoloty krążące w ciemnym tle nieba. Ogniska płonęły, oświetlając las. Blask był tak potężny, że widać go było chyba w Starachowicach. Nie martwiło to nas bynajmniej. To Niemcy mogli odczuć lęk.

Samoloty zatoczyły pierwszy krąg. Zaczęło się! Pierwszy samolot nadleciał nad las, obniżył lot i zrzucił trzy worki. Za nim nadleciał drugi, potem trzeci. Na spadochronach wisiało już dziewięć, po chwili jedenaście... trzynaście worków... Nad nami zawisli też na spadochronach dwaj ludzie. Ich lądowanie śledziły setki par oczu.

Za chwilę samoloty nadleciały ponownie i każdy z nich rzucił znów po trzy worki.

Był to niezapomniany wprost widok. Dziesiątki spadochronów rozkładały na tle nieba jak fantastyczne grzyby. Zbliżały się ku ziemi, rosły coraz bardziej.

Po czwartej i ostatniej rundzie samoloty zapaliły światła pozycyjne, przeleciały jak cienie nad polaną i pożegnały nas. W odpowiedzi machaliśmy do nich rękoma, pozdrawiając, życząc pomyślnego powrotu i... następnych odwiedzin.

Warkot silników oddalał się, cichł i wkrótce zamilkł zupełnie. Ogniska zostały zgaszone i tylko w świetle księżyca bieleły plamy spadochronów, rozrzucanych na polanie i na pobliskich drzewach.

* Ręczny karabin maszynowy konstrukcji Diegtiariewa, używany wówczas w Armii Radzieckiej i ludowym Wojsku Polskim, a także przez polskich i radzieckich partyzantów.

Barwy walki

MIECZYŚLAW MOCZAR

Trzeba było wszystko pozbierać, poselekcjonować, ułożyć i załadować. Chłopcy rozbiegli się po polanie. Zorganizowana zawczasu praca przebiegała szybko i sprawnie.

Ładowano furmanki bronią, wypełniano je trotylem i amunicją. Tej nocy wystarczyło roboty dla wszystkich. „Piotr” i „Stiepan”, którzy przybyli z „tamtej strony”, przyglądali się pracy naszych żołnierzy z zainteresowaniem. Zapytaliśmy ich, czy wiedzą, ile zrzucono nam worków. Niestety nie wiedzieli. Powiedzieli nam tylko, że przed odlotem proszono ich, abyśmy jeszcze dziś przestali odpowiedzieć, ile worków zdołaliśmy odebrać.

Zaczęło się sprawdzanie. Kto ile worków widział? Zgodnie określono ich ilość na 36, co oznaczało, że wszystkie worki dostały się w nasze ręce.

Teraz trzeba było już tylko powiadomić Lublin o pomyślnym odebraniu zrztu i przesłać lotnikom partyzanckim podziękowanie. Załatwił to, jak zwykle „od ręki”, nasz niezastąpiony arcymistrz eteru, „Saszka”.

Między innymi otrzymaliśmy radiostację, podarunek szczególnie cenny. Postanowiliśmy przesłać ją do batalionu im. Bema, działającego w rejonie Piotrków — Radomsko — Częstochowa. Batalion mógł w ten sposób nawiązywać bezpośrednią łączność radiową także z Lublinem. Radiostację i szyfry przewiozła do towarzyszy Burskiego i Boruty Helena Gregorek — „Tereska”, której towarzyszył radiotelegrafista.

O świcie wszystkie prace związane z odebraniem zrztu były już całkowicie zakończone. Z radością patrzyliśmy na rozłożone przed nami prawdziwe skarby, z góry określając oddziały, które będą dozbrojone w pierwszej kolejności.

Nowicjusze ze Starachowic tego dnia mieli podwójny powód do radości: nie tylko uczestniczyli w ciekawej akcji, ale właśnie w jej wyniku otrzymali doskonałe „pepesze” wprost z fabryki broni i do tego po pół tysiąca sztuk amunicji na każdego.

„Szczęściarze!” — mówili o nich starzy partyzanci.

Mieli rację. Nie zawsze i nie wszędzie tak bywało.

Partyzanckie śniadanie

N

oc była niesamowita. Wiatr z diabelską siłą hasał po konarach, wyginając w łuk pnie najstarszych nawet drzew. Chwilami zdawało się, że nie wytrzymają one ogromnego naporu jego siły i lada moment pękną z trzaskiem. Takiej wichury nikt z partyzantów jeszcze nie przeżywał w lesie.

Wysokopienne sosny, pod którymi siedzieli partyzanci, stękały jak okrętowe maszty podczas szalejącej burzy. Czasami zdawało się, że drzewa utrzymują się jedynie dzięki temu, że podpieramy je naszymi ciałami. W rezultacie zmagaliśmy z potężnym żywiołem niejedną w końcu pień musiał ulec. Od czasu do czasu gdzieś niedaleko jakaś sosna-starucha waliła się na swych najbliższych sąsiadów. Słychać było dokoła trzask łamanych gałęzi.

Tej okropnej nocy pragnęliśmy tylko jednego: aby jak najrychlej nadszedł świt, który zazwyczaj uspokajał rozszalałe „złe duchy”, niosąc z sobą ciszę, a z nią i wytchnienie.

Czas, jak zwykle w takich okolicznościach, wlokł się powoli. Kiedy wpatrzyliśmy w niebo oczekiwaliśmy już pierwszych sygnałów przedświt, okazywało się, że była to dopiero godzina pierwsza. Noc zdawała się wlec bez końca.

Rozszalała wichura musiała chyba z całego świata ściągać nabrzmiałe deszczem chmury, by tu właśnie, nad lasami Świniej Góry, wylać z nich na ziemię całą ich zawartość. Deszcz lał tak niemiłosiernie, że płachty namiotów, chronionych zdawałoby się przez rozłożyste gałęzie drzew, zwiotczały i przylgnęły do ziemi. Od czasu do czasu czerń nisko nawisłych chmur przecinał purpurowy zygak błyskawicy. W ślad za nią przelewało się pośród drzew głucho dudnienie grzmotu.

Wreszcie, po długim oczekiwaniu, poprzez zwłaszcza chmur przedzierając się zaczął upragniony świt.

Woda spływała w dół tysiącem strumyków. Musieliśmy natychmiast zmienić miejsce postoju i wbrew przyjętym zasadom rozbić obóz w miejscu bardziej otwartym, górzystym, z którego woda zdażyła już odpłynąć.

Rozkaz o przygotowaniu się do wymarszu sprowadził wśród partyzantów ożywienie. Mokrzy i zmęczeni potrzebowali bowiem ruchu.

Najlepsi znawcy lasów Świniej Góry, w szczególności zwadowcy, którzy wydeptali w nim dziesiątki i setki ścieżek i znali go jak swoją własną kieszeń, zaproponowali kilka miejsc na nowy postój. Z wielu propozycji wybraliśmy oczywiście najlepszą.

Pierwsza wyruszyła kompania gospodarza, której zadaniem było przygotowanie żołnierzom śniadania. Za nią dopiero wyruszyli po pewnym czasie główne siły. Pewna część oddziału rozpoznawczego pozostała na starym miejscu w oczekiwaniu na te grupy, które lada chwila miały powrócić z operacji nazywanej wówczas „walką o szynę”.

Dzień głęboko już przeniknął w lasy Świniej Góry, gdy oddziały wyruszyły na wyznaczone miejsce postoju. Humor wśród żołnierzy zaczął się poprawiać, mimo że kłębiaste chmury, które szybko przewalały się nad wierzchołkami drzew, nie zapowiadały w najbliższym czasie dobrej pogody. Oddziały posuwały się wolno, a żołnierze, w doszczętnie rozmokłych butach, mieli niemało pracy przy usuwaniu powalonych na drodze drzew. Trzeba było oczyścić drogę dla furmanek naładowanych amunicją i trotylem oraz dla wycieczonych słońmą wozów z rannymi partyzantami.

Gdy oddziały wolno posuwały się poprzez las, żołnierze z kompanii gospodarza od godziny już nieustrudzenie pracowali na nowym miejscu postoju. Jedni z nich dmuchali w ognisko, by wydobyc z niego większy płomień, inni nosili wodę i nalewali do wielkich kotłów. Trzecia zaś grupa zbierała grzyby, maślaki, których tu rosła taka ilość, że można by je po prostu kosić.

Kompania aprowizacyjna, mimo że partyzanci chętnie opowiadali sobie o niej kawały, cieszyła się jednak zrozumiałym szacunkiem i poważaniem. Jej dowódca nawet w najbardziej chude dni posiadał w specjalnym worku trochę cebuli, słoniny i inne „frykasy”, przeznaczone dla rannych i chorych. Szanowaliśmy go za to. Ceniliśmy go jednak również za duże poczucie obowiązku. Nikt i nigdy nie musiał przypominać, co powinien robić dowódca kompanii gospodarza, ponieważ on sam o wszystkim i o wszystkich najlepiej pamiętał. Zawsze też w odpowiednim czasie postarał się o pomoc, jeżeli sam nie mógł sobie z trudnościami poradzić, a przyznać trzeba, że trudności tych miał sporo, bo niełatwą było rzeczą żywić setki ludzi w warunkach wojny partyzanckiej.

I tym razem przygotowanie śniadania poszło sprawnie.

O zbliżaniu się do nowego „empe” informowała nas smakowita woń płynąca z niewidocznych jeszcze kotłów. Zapach wznagał się.

— Grzybki! — ktoś poruszywszy nozdrzami rozpoznał znajomą potrawę.

— Nie grzybki, a maślaczki — poprawił inny.

— Jaka różnica! Jak dobrze zrobione, z masłem, pieprzem, cebulą, to i maślaczki smaczne.

— Z masłem, pieprzem, cebulą! Gdzie teraz takie dostaniesz? Będą same maślaczki...

— Same maślaki? Gęśiej skórki dostaje!

— Wsuniesz i ze swoją gęsią skórka, nie martw się!

— A co mam robić? Na swój szkorbut wolałbym co prawda przyzwoić marchew.

— A ja to nie mam szkorbutu? Mam szkorbut, a mimo to maślaczki lubię. Jeśli czełek jest głodny, to i zeschły chleb jest mu frykasem.

Oddziały rozlokowały się na nowym miejscu. Uporządkowano broń i amunicję, po czym z ulgą przystąpiono do zdejmowania przemoczonego, rozczłapanego obuwia. Obolałe, zaczerwienione nogi mogły wreszcie wypocząć po trudach marszu.

Dowódca kompanii gospodarza zameldował, że śniadanie jest gotowe. Starych maślaków nie zbierano, tylko młodzieńki, sam „cymes”. Z chlebem natomiast była gorsza sprawa. Mimo że chroniliśmy go wszystkimi sposobami, zmókł na papkę. Ale o wyrzuceniu mowy nawet nie było. Zmieszaliśmy maślakową maź z mazią chlebową i tak powstała nowa, oryginalna potrawa. Nie była ona co prawda smaczna, ale zawierała trochę składników odżywczych, najważniejsze zaś było to, że wypełniała żołądek.

W lesie rozległo się pobrękiwanie naczyń. Jedzono w ciszy i skupieniu, głód nie sprzyja na ogół nawiązywaniu towarzyskiej konwersacji. „Wróg maślaczków” ukończył swoją porcję jako jeden z pierwszych i ukradkiem spoglądał teraz w stronę kuchni. Za marchwią z pewnością nadal tęsknił, ale maślaczkami też nie gardził.

Na tym partyzanckim śniadaniu apetyt dopisywał każdemu.

Nadszedł dzień

Ostatni nasz partyzancki Nowy Rok mieliśmy witać w Pętkowicach nad rzeką Kamienną, gdzie od pewnego czasu przebywał najczęściej „Długi Janek”. Codziennie zmienialiśmy naszą „kwatere”, przenosząc się ze wsi do wsi. Podyktowane to było zrozumiałymi względami ostrożności, bowiem teren leżał w pobliżu frontu i był silnie obsadzony przez hitlerowskie wojska.



Kwiatki

ANKA KOWALSKA

O jakiejś porze któreś z was dzwoniło: — Czy wszystko dobrze? Przyjdź na kwadrans pod księgarnię. Spałaś? Spałaś? Będę. Kochany, do widzenia. Do widzenia.

Małe banalne słowa płynęły jak zapewnienie miłości i wzajemnego trwania, wszystko przebaczące słowa; każde spotkanie w takim dobrym czasie, w czasie ufności i nieustającego zdumienia nad siłą, jaka z miłości powstawała, każde wtedy spotkanie było jak łaska, jak dzielenie się nią; otrzymanie, spełnienie, dotknięcie niewyrażalnego. Była to też radość tak prosta, jak gdyby nie trzeba jej okupywać, jakby się za nią nie płaciło niczym lub czymś tak mizernym, że nie warto o tym mówić ani myśleć. Na ulicy z czołem na szybie księgarni stała Agata, sprężyste stopy w wąskich nosach czółenek, stopy w kagańcu, śmiała się z tych niespokojnych, zawsze pośpiesznych nóg, wokół których kołysała się spódnica. Patrz, mówiła Agata, patrz, jest jakiś debiut, i wyszła nowa Nike; ekspedientki w tej księgarni znają dobrze jej zapamiętałą namiętność. Układały przed nią stopy nowości, Agata z rozpaczą wyrzucała na ladę zawartość portmonetki, to muszę mieć, Kuprina muszę mieć, Borys, pożycz pięć złotych. Uwielbiała rosyjską literaturę, napawała się rosyjskością w najmniej udanych książkach, „Alonka” Antonowa przeczytała ci na ławce w parku Ujazdowskim wdychając z zachwytem; słuchaj, ten kierowca, ten autobus w stepie. Jej zapach udzielał się ekspedientkom w księgarni, stos książek piętrzył się coraz większy, Agata w rozpaczy chwyciła cię za rękę.

Albo szliście na chwilę w Aleje Ujazdowskie. Zjadł cię — mówię o każdym, kto was mijał. To ja ci go daję, podarowałam ci go — mówiła Agata, rzucam ci pod nogi, zrób z nim, co chcesz; śmiała się, milczała, gadała, kaprysiła w wyborze ławki. Klóciście się o wszystko, o byle drobiazgi, szczęśliwi z tego kwadransa, jedynego w dniu tak osobnym dla was dwojga; piętnaście minut rosło w rozległy czas, w nieogarniętą przestrzeń pełną dotknięć i słów, dobrego milczenia, niczym nie podważonej wiary. Łabędzie, pięknoszyje i głupie, lawirowały wśród płaskich liści nenufarów, wyjmowałeś resztki śniadania wpakowanego do twojej teczki przez Teresę; banalna para karmiąca wróble przeciskające się nieustraszenie pomiędzy nachalnymi gołębiami. Ale nikt nie wiedział, że macie tylko ten jeden kwadrans. Piętnaście minut, podczas trwania których, podczas których odchodzenia, wolno was

93

było jeść i pić, trzeba wam było jeść, pić, patrzeć, oddychać, mówić i milczeć tak, aby wszystko, co trzeba będzie robić tego dnia, czymkolwiek być i z kimkolwiek egzystować, pełne było tego kwadransa, tej epoki złożonej z dziewięćset sekund. Dziewięćset sekund rozkwitania, rozwijania się w was zielonych liści, otwierania się przejrzystych głębi, których czystość i nieprzebranie w was samych budziło wdzięczność i lęk.

Już pewnie musisz iść — mówiła Agata, patrzyła troskliwie na zegarek — to idź, kochany, zadzwonię do ciebie jutro. Jutro przyjdę do ciebie, przyjdę do domu — mówiła; będziesz dziś spała, prawda? Teraz dobrze śpisz? — i patrzyła, jak otwiera się do ciebie cała i cierpliwa w swojej namiętności, jak się uśmiecha: jeden kącik warg nieco wyżej, kącik warg najbardziej przez ciebie całowany. Mnie całej jest dobrze, mówiła Agata, rozumiesz: i zieleniały jej oczy, czy jej zieleniały, patrzyłaś w te czarne od cienistej zieleni oczy; no idź — mówiła, idź. A czasami mówiła, zawsze była bezwstydną, nie wstydziała się żadnego słowa, żadnego gestu, i dlatego było tak, jak gdyby przed nią nikt nie mówił, nie robił tego, co ona, czasami więc mówiła:

— Idź już, ja ciebie Kocham.

43

W takich dniach, w takich świetlistych epokach Agata chodziła po świecie, w którym wszyscy i wszystko ogromniało i stawało się bliskie, domagało się jej udziału i troski. Pisywała długie listy do matki, czuła, radosne listy. Marek, gdy się pojawił, miał w niej najczulszą opiekunkę; Józef i ja wysyłani zostawaliśmy do teatru, do kina, do znajomych, chłopczek w ramionach Agaty wierzył z rozkoszy: nikt prócz niej nie kładł się na ziemi razem z nim, żeby oglądać w książce obrazki, które można było oglądać przy stole, nikt nie opowiadał mu równie zapierających dech historii o kotach, które z dachu skakały prosto na księżyc, niedźwiedziach jadących warszawskim tramwajem, motylach, które złapane w siatkę okazywały się z nieba spadłymi gwiazdami i palec, który ich dotknął, zaczynał świecić i migotać. Gdy Marek wykąpany, ukołysany, zasypiał, Agata siadała do pisania. Często wracaliśmy wtedy rano, zastawaliśmy ją nad zapisanymi kartkami papieru, z podkrążonymi oczyma, uniesioną i jak gdyby pijaną; w okresach, kiedy była szczęśliwa — bo czuła się w mocy udźwignąć razem z miłością do ciebie także swój dom i twoje drugie życie, Teresę, matkę i dzieci, swoją samotność i strach — zawsze marzyła o napisaniu „pozytywnej” powieści.

— Nic nie powinno być w niej łatwe, rozumiesz — mówiła. — I nie może być w niej nic gotowego, wiesz: deus ex machina, dostają spadek albo dziwnym trafem nie ich nie denerwuje, nie stykają się z żadną nieuchronnością, tańczą, żyją bez garbu. Tylko trzeba tam pokazać, że nigdy, nigdy nie są leniwi, wewnętrznie leniwi, Sabina. Nie wiem: czy to ma chodzić o wolę? Wole walki? To brzmi tak nieprawdźwie. Jakimi słowami mówić dziś o wartościach, żeby do nich przekonać? O wartościach pomimo wszystko. O czymś ponad głód. Ponad zmęczenie. Ponad niedoskonałość naszą. I świata. Ponad śmierć.

Nie wstydziała się tak mówić i pisać; to uważam za jej największe

94

sze dziwactwo, to ją wyosobniało spomiędzy wszystkich. Wśród modernistów wydawała się zdemodowana.

Ale tak było wtedy, gdy było dobrze między wami, gdy umieliście sobie dać wszystko wam potrzebne, tak, aby mało było wszystkiego złe i gorzkie, wasze rozstania i wasze osobne życia, upokorzenia i kłamstwa. Jej najlepsze wersze pochodziły z takich czasów, z tych właśnie okresów, w Agacie pienie się natchnienie, kipiała twórczością, odwagą; nigdy więcej i lepiej nie pracowała, bardziej nie oddawała się cudzemu i własnemu pisaniu. Po stokroć stawiała się potrzebna. Jak ty — także wówczas — w swojej pracy. I w swoim domu.

44

Ja, Borys, byłem ślepa i głucha tylko przez te wasze pierwsze trzy lata. Przez następny rok czy dwa nie byłem już ślepa i głucha, byłem tylko zaślepiona, a do uszu pchałam sobie na siłę wosk jak Odyseusz. Potem rozdarły, rozpadły się pierwsze zasłony, przeczciła się mgła, w której tkwiłam; nie stałam się przez to mądrzejsza, ale nie byłem już głupia do tego stopnia, aby myśleć, że jestem mądra. Zaczęłam widzieć; zaczęłam wiedzieć ponad wszelką wątpliwość, że już nic nie wiem na pewno. Dlaczego o tym mówię, pytasz? Ach, dlaczego ty nie widzisz siebie!

Siedzisz przede mną i widzę znów to samo — zaprzeczenie rzeczywistości. Siedzisz przede mną i zamiast płakać, zamiast skomleć i drzeć, w twarzy masz... gdybym się nie wstydziała, powiedziałałabym: słońce. Jak gdyby trwało wciąż to, o czym mówię, jak gdyby nie minęło tak okropnie, tak doskonale i zupełnie. W twarzy masz słońce, czy ja wiem zresztą, jak mam nazwać to, co mieszka na twojej twarzy, twoich rysach ściągniętych, w bruzdach, które przez te kilka dni wgrzyły się w twoją skórę, ostro zagłębiły się wzdłuż nosa, po obu stronach brody; masz oczy światła, wiesz? Masz oczy światła, udreżone i pogodne oczy; i pogłębiły się cienie dokoła tych oczu, płakałeś. Patrzyłaś nimi za siebie, patrzyłaś — próbowałaś patrzeć w siebie jutrzejszego i w siebie poza jutrem; to trudno, to ciężko tak patrzeć, nieczęsto w życiu tak się patrzy, aż tak wyteża się wzrok. To od takiego patrzenia ma się takie oczy, jakie masz dzisiaj ty.

A przecież jest w twojej twarzy ślad słońca, mówię; te żywe fale ciepła, ten wyraz bezwiednej czułości, te odblaski waszej obecności wśród tych lat, których ciężaru nie usiłowałabym unieść ani przez chwilę: to wszystko przechodzi przez twoją twarz; i ja to widzę. Ja tylko przedtem byłem ślepa i głucha.

To było wtedy, kiedy nic jeszcze nie wiedziałam, że wy — i dlaczego ona chodzi sama do kina. A potem, kiedy już wiedziałam, patrzyłam na to, myślałam o tym jak zaślepiona, krzyczałam na nią, kiedyśmy rozmawiały, w samotności myślałam z obrzydzeniem: jaki grzech, jaki smutny grzech. I oddalałam się od niej, od tej uśmiechniętej trędowatej, od tej trędowatej płaczącej, a przecież nieświadomej, że to trąd. Nieświadomej! Ona trądowi zaprzeczała. A twarz miała przy tym jak pogodnie obłąkana.

Ach, nie mogłam, nie chciałam tego słuchać. Uszy zalane woskiem. I oddalałam się. Józef mi pomógł, Józef był rad.

95

Ale posłuchaj:

Jakieś trzy lata temu zaczęłam widzieć na tyle, by jej zacząć zazdrościć znów. Zazdrościłam jej, kiedy płakała i kiedy spod łez ukazywała to wasze słońce, którego nie mogłam znieść. „Pod słońcem szatana”? Tylko tak mogło być, tylko tak mogłam sobie tłumaczyć jej udrękę i jej promieniowanie, jej — niekiedy — tak ogromny spokój, jakiego nie osiągnęłam nigdy; spokój, którego cień nawet, okruczeń był ode mnie już wtedy daleki. Moje małżeństwo. Moje małżeństwo, Borys. A przecież chciałam najlepiej. Byłam rozsądna, byłam wierna, urodziłam dziecko, któreśmy oboje kochali. Warunki materialne — dobre i coraz lepsze. Mieszkanie i pomoc domowa; czy wielu ludzi ma tyle przywilejów? A przecież to, co było...

Nie jesteśmy jedynym małżeństwem, które znam. Małżeństwo mojej siostry, twoje, kuzynostwo Józefa, małżeństwa moich i twoich znajomych. Obserwowałam sześć małżeństw, sześć par ludzi, kulturalnych, mój Boże, pełnych wad, ale przecież pełnych kiedyś — czasem i nadal — dobrej woli. Rozmaite były warunki, w których żyli, w których żyją ci ludzie. Ale wyniki, ale owoce — te same.

Moja siostra i jej mąż. Czyś widział ich mieszkanie? Ich samochód? Futra Leny? I nie wiesz, jak wyglądali, kiedy szli do ślubu. Właściwie wtedy nie mieli nic, tylko miłość: para zakonanych szczeniaków z dobrymi perspektywami — ginekolog z dentystką.

Mają teraz wszystko — prócz miłości. Och, nie. Lena nie da mu rozwodu, jest bardzo wierząca. Zostaną razem, jeśli Michał nie zechce się wyprowadzić. Może nie zechce. Michał bardzo kocha dzieci — o, widzisz: dzieci tak, dzieci im się udają. Ale oni nie udali się dzieciom. Nawet dla nich nie umieją żyć. Na to są jeszcze za młodzi.

Kuzynostwo Józefa. Nie wiem, jak wyglądali, kiedy po raz pierwszy szli do wspólnego domu. Jest mała amatorska fotografia, jedna czy dwie, robiona przed kościołem, młode, szczuple twarze w niewyraźnym uśmiechu, wyciągnięte do nich dłonie z życzeniami: banalna, uroczysta, pełna sympatycznego zażenowania chwila. Ale jakie banalne chwile musiały mieć miejsce w ich życiu później, że w tym domu jest tak strasznie smutno, smutno już chyba z przyzwyczajenia. Ona skarży się pełna niedomówień, on ożywia się tylko, kiedy wyjeżdża w teren. Dzieci tam nie ma. Nic nowego nie przyszło, nic z przeszłości nie dało się zachować.

Małżeństwa X ty nie znasz (choć z pewnością znasz inne, takie same). Pobrali się mniej więcej wtedy, kiedy ja wychodziłam za mąż — sześć? Nie, to już siedem lat temu. Ich synek o pół roku jest starszy od Marka. Nie będzie miał nigdy siostry; mąż z tego stadła, kolega Józefa, zalał się kiedyś do granic przytomności i wyjął z portfela zdjęcie młodej kobiety o białych włosach, dzinsy, domek campingowy nad jeziorem. Jego żona, wciąż jeszcze ładna brunetka, zbladła, jej ciało zapadło się w fotelu. Ta dziwka, ta dziwka — powiedziała do mnie przez ściśnięte zęby, nad jej wargą ukazała się kropelka potu.

96

Rady od serca

DROGA PANI ANNO!

Mąż mój pracuje na dość poważnym stanowisku, ma wielu znajomych, interesującą pracę, przyjaciół, z którymi chętnie spędza czas.

Ja nie pracuję, nie mam znajomych, a nawet w domu niezbyt wiele pracy. Nie mogę zacząć pracować zawodowo, bo mam małe dziecko. Nie znam nikogo, nie mam przyjaciół, jestem zupełnie sama. Gdy rano wstanę czuję się z utęsknieniem wieczora.

Mąż twierdzi, że powinnam być zadowolona, że nie potrzebuję pracować, że dobrze mi się powodzi. Ja natomiast czuję się bardzo nieszczęśliwa. Nawet na czytanie książek nie mam ochoty. Zresztą nie mam nawet z kim porozmawiać o tym, co przeczytam. Mąż nie ma na to czasu i chęci, woli swoje towarzystwo.

Gdy byłam panną zupełnie inaczej toczyło się moje życie. Byłam wesola, miałam towarzystwo i różne zainteresowania. A dzisiaj komu jestem potrzebna, tylko synkowi. Jak zmienić tę sytuację, by nie zatamować się zupełnie?

SAMOTNA PRZY MĘŻU

SZANOWNNA PANI!

Rzeczywiście takie życie, jakie pani prowadzi, jest nie do pozazdroszczenia. Ale wiele w tym pani własnej winy. Że się pani zgodziła na to, by stać na uboczu. Przecież można przyjaciół męża przyjmować w domu. Przecież można czasem poprosić sąsiadkę, by przypilnowała dziecka. Wreszcie można dziecko umieścić w przedszkolu i zacząć pracować.

Trudno mi uwierzyć, by pani mąż, człowiek kulturalny i wykształcony, nie rozumiał pani sytuacji. Jeśli nie rozumie, trzeba mu to wytłumaczyć.

Pisze pani, że przed wyjściem za mąż miała dużo towarzystwa. Cóż się z nim stało? Gdzie się podziały koleżanki? Pewnie też wyszły za mąż i teraz chętnie odnowiłyby przyjaźń z panią. A wtedy miałyby pani towarzystwo i własne życie nie tak nudne jak obecnie.

A może przy tym wszystkim zaniedbała się pani, może nie myśli pani o swojej urodzie, ubraniu, wyglądzie? Czyżby tak było? Czyżby nie mogła się pani pokazać ludziom? Jeśli tak, jest, trzeba to jak najszybciej zmienić. Wtedy i mąż spojrzy na panią inaczej.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Chciałam pani opowiedzieć o dziwnym trójkacie, w który zostałam uwikłana. Chodziłam z chłopcem. On chodził równocześnie z inną dziewczyną. Gdy powiedział jej, że się ze mną żeni, zaczęła go szantażować, że jest w ciąży (wcale nie jestem pewna czy to było z nim). Pobrałszy się, Tamta zażądała alimentów i uznania ojcostwa. Mój to zrobił dla wszelkiego spokoju. Minęło parę lat. Postanowił zobaczyć swoje dziecko. Pojechał tam. Ona natomiast wykorzystwała tę okoliczność. W rok po wizycie przychodzi list zawiadamiający mego męża, że przyszło na świat drugie jego dziecko. Tamta osoba wie czego chce. Chce rozbić moje małżeństwo, chce żebym wreszcie zdenerwowała się i po-

wiedziała, że mam tego dosyć. Zresztą ja żyję z moim mężem już parę lat i jakoś dziecka nie możemy się doczekać. Więc rzeczywiście już mam dosyć.

Czy naprawdę nie ma rady na takie panny, które rozbijają małżeństwa i chcą robić interes na dzieciach.

OSZUKANA

DROGA PANI!

Obawiam się, że została pani rzeczywiście oszukana, ale nie przez tę kobietę, tylko przez własnego męża. Nie dałabym głowy za to, czy przez cały czas waszego pożycia, nie utrzymywał on stosunków z tamtą kobietą i czy naprawdę tych dzieci nie spłodził. Może mieć pani więc tylko pretensję do niego.

Pisze pani, że tamta kobieta chce robić interes na dzieciach. Cóż to za interes! Dla samotnej kobiety te drobne sumy alimentów — czy pani uważa, że to interes? Nie broń jej zresztą, choć to musi być bardzo nieszczęśliwa osoba.

I pani nie zazdroścę. Rozumiem, że straciła pani wreszcie cierpliwość, ale jaka na to rada? Rozejść się? Oczywiście rozwód zawsze pani otrzyma, ale czy tego pani pragnie? Może takie wyjście byłoby najlepsze, dzieci nie macie, jeszcze mogłaby pani wyjść za mąż za bardziej odpowiedniego człowieka.

ANNA

Michalinka ma głos

Szwagierki są lepsze

Ja nie jestem taką dobrą żoną jak moja szwagierka Helcia. Przyznaję się do tego od razu. Kiedy mój mąż wraca do domu, wcale mu się nie przyglądam, o nic nie pytam, tylko stawiam gorącą zupę na stole i powiadam — „Jedz”. Natomiast szwagierka Helcia zachowuje się zupełnie inaczej.

Gdy jej Waciu przychodzi na obiad, patrzy na niego z troskliwą uwagą i zawsze się pyta jak się czuje. W jej czułych oczach wygląda on stale trochę mizernie. (A tymczasem Waciu to chłop jak byk).

— Jesteś mi jakoś ble-dziutki dzisiaj, kochanie...

— Ja?!

— Nie czujesz się najlepiej? Możesz się przeziębili?

— Gdzie tam!

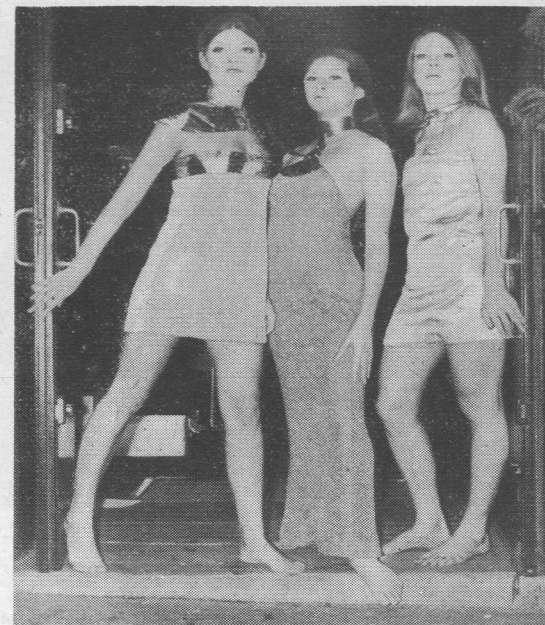
— Nie wzięłaś swetra?

— Po co sweter? Lato przecież.

— Ale masz wrażliwe zdrowie. Nigdy o siebie nie dbasz należycie.

— O, przestań gderać.

— Nie jesteś w humorze. Zaraz to zauważyłam. Miałaś jakieś kłopo-



FANTASTYCZNA MODA PRZYSZŁOŚCI

Pokazy kolekcji skończone. Batalia została rozegrana i młodzież zwyciężyła. Wszystkie kolekcje młodych krawców były przyjmowane entuzjastycznie. Bardzo wielką sensacją był pokaz mody przyszłościowej, mody fantastycznej, pokaz, który odbył się w słynnym lokalu „Regine”. We wspaniałej scenarii modelki ubrane były w kostiumy tzw. przyszłościowe. Suknie — przeważnie króciutkie, przybrane plastikiem, miały także zręcznie wmontowane oświetlenie elektryczne lub fosforujące. Na głowie — przybranie à la antena kosmiczna, napierśniki ze złota lub srebra. Wyglądało to

wszystko fantastycznie i jak ludzie pół żartem twierdzą, jest to moda dla kobiet, które będą latały raketami na Księżyc. Niewiele jest w tym jednak rzeczywistości.

Na zdjęciu po lewej: trzy modele z kolekcji Emanuela Khank, dwie króciutkie sukienki z przezroczystego lekkiego materiału, haftowane srebrem, przybrane plastikiem, miały wmontowane oświetlenie elektryczne lub fosforujące. Po prawej: „Guassar” — sukienka wykonana całkowicie ze srebrnej nitki ze staczkami z masywnego srebra. Model wartości dwu i pół miliona starych franków.

Waciu uderza ręką w stół.

— Nie chcę herbatki. Jest gulasz na obiad?

— Gulasz? Na twoją wątrobę gulasz? Mam lane kluseczki. To zdrowe i pożywne...

Teraz Waciu rzeczywiście jest bliski ataku. Zatrząskuje drzwi i wybiega z domu. Wpada do nas. A ja się nie patrzę, że jest cały czerwony i podenerwowany, tylko stawiam przed nim jeszcze jeden

talerz zupy, przynoszę smażoną kiełbasę i powiadam — „Jedz!”

Jemy w trójkę z apetytem.

— Ty masz fajną żonę — powiada Waciu.

— Dlaczego? — Dziwi się mój mąż. — To taka sztuka usmażyć kiełbasę? Ja mam bardzo delikatny żołądek i wolałbym zjeść lane kluseczki. Ale czy to ona się kiedy o mnie troszczy?...

MICHALINKA



KOŁDUNY

Pani J. M. z Dijon prosi o przepis na kołduny. Oto on:

25 dkg tłustej baraniny, 15 dkg wołowiny, 8 dkg białego łożu nerkowego, 1 ząbek czosnku, sól, pieprz, majeranek. Na ciasto 30 dkg mąki, jajko, sól.

Nadzienie należy przyrządzić w następujący sposób: mięso oraz łój obrać z błon i razem zmielić. Następnie utrzeć czosnek z cebulą, dodać go razem z majerankiem, pieprzem i solą do mięsa. Wszystko razem starannie wyrobić, dodając 3—4 łyżki zimnej wody.

Przygotować wolne ciasto, jak na pierogi. Ciasto cienko walcować i wykrawać kieliszkiem od wina lub foremką małe placuszki. Na środek nakładać nadzienie (pierzochki powinny być pełne) i dokładnie zlepiać brzegi, aby ciasto sklepiło się. Należy uważać, aby nadzienie nie dostało się pomiędzy warstwy sklejonego ciasta.

Kłask kołduny na wrzącą osoloną wodę partiami. Gotować powoli około 3—5 minut. Podawać na głębokim talerzu zalanym gorącym rosółem lub czystym czerwonym barszczem, ugotowanym na mięsie.

S m a c z n e g o !

LISTY *Jozeffa*
Grzybka

Wspominam wrzesień 1939

PANIE REDAKTORZE!

W innych regionach Francji lato jeszcze pewnie w pełni, u nas natomiast lato ma się już ku schyłkowi; osypują się liście, chmury są coraz to bardziej sine, zieleń mocno przyprósza — czerwień, złoto i rdza.

Wrzesień. Ludzie wrócili z wakacji i wspominają — ów Mazury, tamten Bretanię, ktoś inny jeszcze renesansowe zamki nad Loarą. I mnie także nawiedzają wspomnienia — tyle że nie wakacyjne, bo na żadne wczasy nie wyjeżdżaliśmy. Jak zawsze o tej porze roku nawiedzają mnie wspomnienia z września 1939 roku.

Widzę tamte tragiczne dni tak wyraźnie, jakby chodziło o dzień wczorajszy. Kiedy nadeszły wiadomości o napadzie Hitlera na Polskę, natychmiast urządziliśmy zebranie w lokalu naszej polskiej ochotnicy. Wszyscy byliśmy głęboko przejęci, rozdygotani, żądni walki. Własnymi, niezręcznymi często zdaniem formułowaliśmy myśl, której skończenie piękną formę nadał poeta Władysław Broniewski. Mówiliśmy o tym, że choć „są w Ojczyźnie rachunki krzywd”, choć „obca dłoń ich też nie przekreśli”, to przecież — „krwi nie odmówi nikt”...

Byliśmy wszyscy ogromnie przynębieni, ale zatamywanie rąk nie trwało długo. Po wybuchu wojny nasz komitet towarzyszy miejscowych przybrał nazwę Miejscowego Komitetu Obywatelskiego. Komitet Obywatelski energicznie zajął się przeprowadzeniem zbiórki na Fundusz Obrony Narodowej. Utworzono także dwa „organy pomocnicze”: Sekcję Kobiet i Sekcję Gospodarczą. Sekcja Kobiet zajmowała się głównie organizowaniem pomocy dla przybywających różnymi drogami do Francji, gdzie tworzyła się nowa armia polska, żołnierzy polskich. Żołnierze polscy przybywali do Francji w stanie niejednokrotnie wręcz oślakany, bo bez koszuli, bez skarpetek, bez porządnych butów... Nasze kobiety kupiły wtedy za jakieś 2.000 franków wełny, zrobiły z tej wełny 50 par skarpet (należałem do zarządu Komitetu Obywatelskiego, więc pamiętam dokładnie), 15 par rękawic, 20 szali, 15 swetrów i 12 nauszników; po czym wszystko to zostało wystane do obozu armii polskiej w Coëtquidan. Sekcja Kobiet wystara także do Coëtquidan kilkanaście paczek z zebraną w kolonii odzież używaną oraz parę kilogramów waty, różnej wielkości bandaże, paczki gazy jodoformowej; nadto zaś kilkanaście kobiet zobowiązało się zostać „matkami chrestynymi” polskich żołnierzy. Tytuł, jeśli idzie o Sekcję Kobiet.

Co się zaś tyczy Sekcji Gospodarczej Komitetu Obywatelskiego, to zebrała ona — i przekazała na ręce gen. Sikorskiego, jako dar naszej kolonii dla armii polskiej we Francji — ponad 13.000 franków. Wysłaliśmy także do Coëtquidan koce, specjalne „paczki gwiazdkowe” — no i 20 ochotników...

Taka była we wrześniu 1939 r. postawa naszej kolonii — taka była w owych tragicznych dniach postawa wszystkich kolonii polskich we Francji. Zewsząd wysyłano do Coëtquidan paczki i pieniądze. Wszędzie zgłaszali się do armii gen. Sikorskiego młodzi ochotnicy. Bomby i pociski, jakimi hitlerowcy zasypywali Warszawę, raziły także i nasze serca; choć w Ojczyźnie było nam ciężko i to aż tak, że musieliśmy emigrować, to jednak we wrześniu 1939 r. gotowi byliśmy poświęcić dla Niej wszystko, z życiem łącznie.

W „Tygodniku” i innych pismach wiele pisze się, i słusznie, o wkładzie emigracji do ruchu oporu i do walki z hitleryzmem w ogóle. Wszystkie publikowane wspomnienia dotyczą jednak tylko „głębi wojennej” i końca wojny — lat 1941, 1942, 1943, 1944, 1945. O „wrześniu na emigracji” natomiast nikt prawie nie wspomina. A szkoda. Bo działalność emigracji w pierwszych miesiącach wojny zasługuje na pewno na uwagę historyków, może nawet na kilka wierszy w książkach poświęconych najnowszej historii Polski.

Może te wspomnienia, jakie spisałem w tym swoim dziśszym „Liście”, pobudzą do pisania choć kilku pamiętających tamte dni starych działaczy? — Oby!

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

JÓZEF GRZYBEK
z NORDU

§§ MECENAS RADZI

Pan Władysław FURMAN —
Auvers Saint-Georges (Essonne)

Jadę do Polski we wrześniu, wobec czego proszę o informacje co do przewozu pieniędzy.

Polska ustawa dewizowa rozumie przez obrót wartościami dewizowymi:

1. zawieranie i wykonywanie umów, w wyniku których następuje przeniesienie własności wartości dewizowych;
2. dokonywanie przekazów przelewów, wpłat i wypłat wartości dewizowych;
3. wywóz za granicę, przywóz do Kraju lub przewóz przez Polskę wartości dewizowych.

Obrót wartościami dewizowymi jest zabroniony bez zezwolenia Polskiego Banku Narodowego w Warszawie.

W związku z tym osoby przekraczające granice państwa obowiązane są zgłosić granicznym organom kontroli dewizowej posiadane wartości dewizowe.

Wywóz za granicę krajowych (polskich) i zagranicznych pieniędzy, papierów wartościowych, świadectw udziałowych, książeczek oszczędnościowych, jest bez zezwolenia zabroniony.

Natomiast cudzoziemcy dewizowi są uprawnieni wywieźć bez zezwolenia przy wyjeździe z Polski wartości dewizowe przywiezione przez nich i wyszczególnione w deklaracji przywozu, potwierdzonej przez organ granicznej kontroli. Dlatego radzimy zadeklarować wszelkie sumy pieniężne przy wjeździe do Kraju, to bowiem jest warunkiem wywiezienia ich z powrotem bez żadnego kłopotu.

Wartości, których przewóz i wywóz za granicę jest zabroniony, mogą być złożone na przechowanie organom celnym. Zdeponowane pieniądze lub wartości powinny być odebrane w ciągu roku od dnia złożenia. W przeciwnym razie przechodzą one na własność państwa.

RADIOODBIORNIKI TELEWIZORY

◆ Lodówki, maszyny do prania
i inne artykuły gospodarstwa domowego ◆

LENG — PICARD ET C-je

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy
Telefony: 73.39.42, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)



NA WSI. Ostatnia letnia orka jesienna. Rozsiewanie nawozów i przygotowywanie gleby pod przyszłe siewy. Zbiór ziemniaków; kośba małego bobu, soczewicy, grochu, wyki, gorczycy i innych płodów rolnych; również zbiór chmielu, prosa, gryzu, kukurydzy, buraków, rzepy, marchwi itd. W porze suchej zwozi się fasole z łęciami pod dach. Na łąkach koszenie traw z dojrzalym już nasieniem i koszenie ostatnich odrostów. Zadbanie o szlamowanie i pogłębianie rowów odpływowych. **W hodowli:** konie mniej pracują — mniejsza dawka owsa; bydło dokarmiać już ziarnem i odpadkami z młyna; owce przechodzą na sztuczne pożywienie; prosiaki dostają mąkę jęczmienną i z kukurydzy, ziemniaki, piją serwatkę i jedzą karmę przemysłową.

NA ZAGONIE. Wrzesień zapowiada się słoneczny, ale okres wielkich wakacji skończył się już. Trzeba więc zająć do ogródka z warzywami, spulchnić ziemię, podlewać, oczyścić i pomyśleć o urodzaju na przyszły rok.

W ostatnim kąciku ogrodnika mówiliśmy o siewie i sadzeniu, ale jeśli z tych czy innych przyczyn nie można było poleceń wykonać, więc należy do 10 września na kawałku wilgotnego zagonu posiać kapustę, sałaty wiosenne i białą cebulę. Gdy rośliny będą już dość mocne posadzić je w szkółce w rzędach odległych od siebie po 10 cm, gdzie oczekają na posadzenie ostatecznie do jesieni lub do wiosny. Białą cebulę sadi się jednak na dobre. Posiać można również cerfeuil (trybulę) i cresson alenois (rzeżuchę), aby mieć je jako sałatę.

Po zbiorze letniego szpinaku należy posiać rzepę zimową (navets d'hiver, blanc dur lub de Montesson); najlepiej

siać w rzędach odległych od siebie po 12 cm, można też rozpuńkę (mâche, gatunek verte d'Etampes lub verte de Louviers, de Rouen) w rzędach co 15 cm. Po fasoli zielonej — warzywa szybko rosnące, a więc rzepa wczesna (navets hâtifs) redyżka, trybula, rzeżucha, a nawet sałata — laitue gotte; naturalnie szybki wzrost wymaga i wilgoci i trochę ochrony, gdy nastaną zimne noce.

Na działce po ziemniakach posiać można pory (poireaux long de Mézières, très long d'hiver, géant d'hiver). Przekopać i użyźnić ziemię, siać w rzędach odległych o 30 cm i 2 cm głębokich, ziarno przykryć miłąkim torfem, lekko uklepać i zraszać ziemię, a gdy rośliny podrosną przerwać tę czynność. Po ziemniakach można również posiać szpinak zimowy (épinard merveille de Versailles, géant d'hiver, monstrueux de Viroflay). Gdy znajdzie się jeszcze kawałek wolnego zagonu można w pierwszej połowie posiać marchew (carotte hâtive), która wiosną da nam młodą marchewkę a zimę spędzi na zagonie chroniona warstwą liści. Trzeba jednak uważać na gryzonie, bo bardzo lubią tę słodką roślinę.

Ogródek ozdoby traci na różnorodności: chryzantemy powinny zająć miejsce zanikających kwiatów letnich. Już teraz trzeba sadzić bulwy tulipanów i innych bulwiastych. Można również przyciąć żywołot, kosić co tydzień trawnik i podlewać.

Nasze drzewa owocowe we wrześniu można szczyścić w oczka (en écusson), usunąć wiązania poprzednich szczyptów, podparcie przecięzone owocem gałęzie, przerwać zageszczone przed owocem liście, zbierać robaczywe na kompot, a gdy drzewo niszczone jest przez owady a posiada jeszcze owoc chronimy, należy je opylać między 10 i 25 września proszkiem DDT, a proszkiem HCH i SPC, gdy owoc został zebrany. Można również w tym miesiącu rozpocząć klasyczne opryski ochronne.

WASZ OGRODNIK

Ciemne lub jasne, PIJCIE PIWO! Najlepszego gatunku piwa w browarze

bières fines



QUALITÉ FRANCE



i posiadające stempel
wysokiej jakości:
„QUALITÉ FRANCE”

Wydział Handlowy:
49, Boulevard de la
Liberté - LILLE tél. 57-34-34

motte
cordonnier

„23 lata tęskniłam za krajem”

Pani Aniela Legierska z dep. Oise z jednym ze swoich siedmiorga dzieci, 10-letnim Francisem, odwiedziła w tym roku Polskę. Podczas wycieczki po Kraju zwiedzili: Poznań, Łowicz, Żelazową Wolę, Warszawę, byli w Częstochowie, na Górnym Śląsku i w Krakowie. Potem radosne spotkanie z rodziną w Łodzi i Skierniewicach.

— 23 lata nie byłam w Polsce, 23 lata tęskniłam za Krajem. Wszystko się tu zmieniło. Piękna jest nasza Ojczyzna — powiedziała nam p. Aniela Legierska.



NAGRODY I WYRÓŻNIENIA ZA OGRÓDKI I UKWIECONE DOMY

BULLY-les-MINES. Decyzją regionalnej komisji nagrody za pięknie ukwiecone domy otrzymali: pp. Jan Gmerek, Alojzy Mikołajczak, Florian Culis, Liliane Adamczyk, Antoni Haremsza, Jan Gawlik, Irena Wieczorek, Jan Kubiak, Erwin Woźniak, Jan Wiśniewski, Tadeusz Piotrowski, Walenty Woźniak.

HENIN-LIETARD. W konkursie regionalnym dla emerytowanych górników p. Roch Kurasiński (Carvin) zajął 15 miejsce, p. Stanisław Smelczak (Harnes) 23, p. Stefan Jurk (Noyelles-sous-Lens) 27, p. Stanisław Nowaczyk (Harnes) 28, p. Jan Barczewski (Noyelles-sous-Lens) 31, p. Stefan Zapłata (Montigny-en-Gohelle) 35, p. Henryk Głowacki (Noyelles) 41. Dalsze wyróżnienia otrzymali: pp. Helena Szymkowiak (Sallaumines), Felix Jankowiak (Noyelles), Szymon Kossada (Noyelles), Franciszek Kasperczak (Carvin), Władysław Woźniak (Sallaumines), Marian Bross i Jakub Małecki. W kategorii rencistów młodych pierwszą nagrodę otrzymał p. Franciszek Napierała z Harnes, zaś dalsze pp. Etienne Madzgoń (Carvin), Jan Chojnacki (Dourges), Adam

KACIK HODOWCY GOŁĘBI

DIVION-HOUDAIN. W konkursie stowarzyszenia „Entente” „sur Chantilly” gołębie p. Lemenczewskiego zajęły miejsca 12, 35 i 42, a p. Pawlaczka 26 i 34. Konkurs dla młodych gołębi wygrał gołąb p. Morgiella; miejsce 2, 11 i 12 zajął p. Lemenczewski, miejsce 3 i 10 p. Brodziak, 5 p. Skałeczki, 6 p. Herman a 9 i 13 p. Pawlaczka.

GUESNAIN. W konkursie „sur Creil” stowarzyszenia „Espérance” p. Kominek był 2. W zestawieniu seryjnym p. Kominek był również drugi.

AUBERCHICOURT. Konkurs „sur Saint-Denis” wygrał p. Franciszek Stefan zajmując wszystkie pierwsze miejsca. W kategorii młodzików gołębie p. Łuchowiaka zajęły miejsca 9, 21 i 24, p. J. P. Simona 12, p. Ratajczaka 13, p. Juszcza 14. W konkursie „sur Chantilly” gołąb p. Łuchowiaka był 4, p. Simona 13, a p. Juszcza 28 i 29.

AVION. Gołąb p. Józefa Pietrzaka zajął miejsce 16 w konkursie „Entente Avion-Méricourt” „sur Chantilly”.

LIBERCOURT. W serii „sur Chantilly” p. J. Ciekawy zajął 2 miejsce, a p. Morofy 7, 11 i 15. W serii młodzików gołębie p. F. Rapiora zajęły miejsce 11 i 15.

Matyja (Carvin), Georges Batuszek (Billy-Montigny), Jan Kwapiak (Carvin), Jan Rezulak (Fouquières), Franciszek Sitkul (Noyelles), Władysław Kallach (Billy-Montigny), Józef Kasperski (Sallaumines), Antonina Bujak (Rouvroy) i Stefan Buśniak (Carvin).

Z ŻYCIA RÓŻNYCH TOWARZYSTW

ERRE-EN-OSTREVENT. W ostatnio organizowanym konkursie strzelania towarzystwa kurkowego p. Jan Kuratowski zajął 16 miejsce.

AVION. P. J. Szymanek zajął drugie miejsce w konkursie oszczepków organizowanym w dzielnicy Transval.

DIVION. Stowarzyszenia sportowe urządziły mecz między reprezentacją polską i francuską, dochód z którego przeznaczony był na rzecz zawodników, którzy doznali trwałych kontuzji z powodu uprawiania sportu. Trybuny zapelnily się publicznością.

BULLY-les-MINES. W konkursie bulistów, urządzonym przez Amicale des Boules, p. Nadolny z Noeux przegrał w półfinale, a p. Tadek z Bully w ćwierćfinale. Finał wygrał p. Mordus z Liévin.

HERSIN-COUPIGNY. Z okazji lokalnego święta został tu zorganizowany dla młodzieży konkurs ukwieconych rowerów. Pierwsze miejsce zajął Gerard Szajek, a szóste Jan Wojciejak. Nagrody wręczył mer miasta p. Andrieux.

LENS-FOSSE 12. Stowarzyszenie bulistów Les Boules — Edacailles obchodziło uroczyste 15-lecie istnienia. Obecnie prezesem honorowym stowarzyszenia jest p. Edward Nowak. W ciągu tych piętnastu lat do rozwoju stowarzyszenia przyczynili się przede wszystkim p. Jan Makowiecki, który był prezesem, p. Józef Trzeciak — skarbnik i p. Jan Kpaczewski — sekretarz.

WINGLES. Sportowcy z „Pro-Patria” wybrali nowy zarząd. Prezesem honorowym został p. Łepicki, a członkiem zarządu, odpowiedzialnym za młodzież i sprzęt — p. Jedrosik.

BRUAY-en-ARTOIS. Konkurs jazdy na wrotkach, zorganizowany przez komitet miejski, wygrał Rudolf Jędrzejewski. Na trzecim miejscu był Jean-Luc Masluk, na 4 Robert Łuczak, a na 10 Bruno Spodobalski.

LA-LANDE-LA-SAULE. Rocznik 1969 obradował nad programem pracy. Obradom przewodniczył prezes, p. Albert Błakowski, i sekretarz Józef Świat. Postanowiono urządzić powakacyjne spotkanie towarzyskie w dniu 24 września.

BULLY-les-MINES. Stowarzyszenie Étoile Sportive zajęło się losem swojego najlepszego gracza Jana Kempskiego, który od 9 miesięcy jest ciężko kontuzjowany. Apel stowarzyszenia nie pozostał bez echa, a zbiórka na boisku dała poważną kwotę na rzecz zawodnika, który tak długo był podporą klubu.

DYPLOMY ZAWODOWE

LENS — CENTRE ARRAS. Dyplom w zakresie budownictwa uzyskali: pp. Alain Sargalski, Leon Przybylski, Ryszard Skudubowicz, Jan

Mickiewicz, Jan Wieczorek, Edward Mroszek, Bernard Walczak, Raymond Glikowski, Bernard Kubas, Lucjan Kania, Marian Biesiada, Jan Jankowiak, Ryszard Stojkowski, Andrzej Szymański, Ryszard Wilk, Raymond Harendarczyk, Daniel Jaworski, Daniel Marciniak, Ryszard Grobelny, Daniel Wasiak, Raymond Traszkowski, Marcel Stroiński, Jan Krzywalski, Bruno Makowiecki, Henryk Ostrowski, Maxime Korszuk, Gerard Dziadek, Alain Kaczmarek, Andrzej Kaliński, Ryszard Kraszkiewicz, Patrick Pawletta, Stefan Harendarczyk.

D. DOWOJNA — BIENAIME

TLUMACZKA PRZYSIĘGŁA PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle PARIS (5e)

TELEFON: ODEon 41-17 METRO: PONT-MARIE

NASZA KRONIKA RODZINNA

Niech zdrowo rosną!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

MOYEUVE - GRANDE: Isabelle Dąbrowska, Helena Sementa. **ROMBAS:** Thierry Gladczuk. **ROSSELANGE:** Agnès-Marianne Sykowska. **HERSIN-COUPIGNY:** Ryszard Antoniewicz, Natalia Szpoper. **VALENCIENNES:** Fryderyk Jajkiewicz; **LIBERCOURT:** Waleria Draniczarek. **HARNES:** Jan Banach, Jan Śluzak. **LOISIN-sous-LENS:** Fabienne Siwak, Sandrine Kowalczyk, Alain Matuszewski, Bernard Boński, Daniel Szmaracki. **SOMAIN:** Natalia Trzeciak, Alain Weześniak, Maryse Waszczyńska; **BETHUNE:** Isabelle Piecuch, Annick Gurska, Olivier Borowicz; **LENS:** Didier Figas. **LIEVIN:** Filip Olejniczak. **DOUAI:** Jan Mroczkowski, Jean-Marc Domała. **COURRIERS:** Yves Magierski Ostricourt. **DOURGES:** Peggy Modliński, Michał Ciupek. **OIGNIES:** David Gornecki. **MERICOURT-sous-LENS:** Fabienne Siwak. **CARVIN:** Andrzej Prałat. **SALLAUMINES:** Alina Knapezyk.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z tych najmłodszych.

Sto lat dla Nowożeńców!

Ku radości rodzin i przyjaciół ostatnio małżeństwa zawarli:

AUCHELE: Yveline Robouche i Gerard Karolewicz. **FLINES-lez-RACHES:** Gizela Florczak i Alain Fichel. **WAZIERS:** Genowefa Szkolan i

ORĘDZIE MIASTA SAINT-DENIS

Rada Miejska Saint-Denis przekazała do Warszawy na ręce Przewodniczącego Rady Państwa PRL Edwarda Ochaba orędzie przyjaźni, jakie uchwaliła z okazji Milenium Państwa Polskiego. List przewodni podpisał Radca Generalny Departamentu Sekwany, Przewodniczący Rady Miejskiej Saint-Denis, zastępca mera p. M. Soucheyre.

„Z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego — czytamy w orędziu — Rada Miejska miasta Saint-Denis pragnie dać wyraz swej sympatii dla Polski, kraju, który w ciągu wieków doznał tylu cierpień i okaleczeń spowodowanych obcą okupacją, kraju, który hitlerowcy pragnęli w latach ostatniej wojny wymazać z mapy świata.

Działalność tego narodu, który stracił 6 milionów obywateli, jest przedmiotem naszego podziwu, a odbudowa jego stolicy, Warszawy, systematycznie niszczonej przez wroga w 1945 r., jest tego symbolem.

Zdajemy sobie sprawę z olbrzymich wysiłków, jakie naród polski musiał podjąć, by podnieść kraj z ruin i przekształcić Polskę z kraju słabo rozwiniętego o przewadze rolnictwa, w kraj uprzemysłowiony.

Składamy hołd pamięci jej wielkim ludziom, których geniusz wykroczył poza granice Polski, zyskując jej wdzięczność całej ludzkości. Mamy na myśli Kopernika, a także tych wszystkich, których los ukształtował trwale więzy między naszymi krajami, ludzi takich, jak Adam Mickiewicz, poeta-patriota, który kierował katedrą języków słowiańskich w Collège de France, Fryderyk Chopin, kompozytor, który żył i stworzył większą część swych dzieł we Francji, Jarosław Dąbrowski, członek Komitetu Centralnego Komuny, komendant Paryża, który był organizatorem jego obrony przed Wersalczykami i zginął na barykadach.

Myślimy też o bliższej nam w czasie — Marii Skłodowskiej, która stawszy się Marią Curie, pozostawała w ścisłej łączności ze swym macierzystym krajem.

Myślimy też o tych wszystkich bezimiennych Polakach, którzy — zmuszeni do opuszczenia swego kraju w poszukiwaniu pracy — osiedlili się we Francji.

Trwała przyjaźń łączy od dawna Polskę i Francję; cieszymy się też z ostatnio podpisanych przez nasze kraje umów o współpracy kulturalnej oraz o współpracy naukowej i technicznej.

Pragnąc uczcić tę doniosłą datę, miasto nasze urządziło dużą wystawę w dniach od 4 — 19 czerwca 1966 r. ukazującą życie społeczne i gospodarcze Waszego kraju.

Obecne granice Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na Odrze i Nysie, ustalone uchwałami poczdamskimi w 1945 r., które umożliwiły jej odzyskanie dawnych terytoriów, stanowią czynnik pokoju w Europie i powinny być ostentacyjnie uznane.

Zyczymy Polsce dalszych sukcesów i zobowiązujemy się, iż będziemy pracować nad umocnieniem przyjaźni polsko-francuskiej.”

COURT: Edward Nowojczyk, lat 41, Franciszek Ozierski, lat 62, Józef Wawerczak, lat 62. **NOEUX-les-MINES:** Lucie Krzywańska z domu Quintin, lat 33, Sabina Krzywańska, lat 6. **MONCEAU-les-MINES:** Petronela Ciborska z domu Marciniak, lat 71, Stanisław Klemenczak, lat 52. **BARLIN:** Jan Koscielniak, lat 67, Wacław Maciejewski, lat 60. **VALENCIENNES:** Wojciech Tomczyk, lat 65. **MOYEUVE-GRANDE:** Wincenty Wawrzyniak. **ROMBAS:** Parthe Lorenc z domu Kubicka, lat 40. **HERSIN-COUPIGNY:** Józef Hars, lat 54. **VENDIN-le-VIEIL:** Andrzej Cermak.

Rodzynom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

TRZY SIOSTRY SPOTKAŁY SIĘ W ŁODZI



Dwie z nich przyjechały tu z Francji z okolic Paryża: p. Maria Rosiak (z lewej) i p. Kazimiera Walaszczak (z prawej) w odwiedziny do p. Stanisławy Angulskiej (w środku).

Dla wszystkich trzech było to wielkie i wzruszające przeżycie.

Z żalobnej karty

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

LOISON-sous-LENS: Józef Bartkowiak, Michalina Keller z domu Makowska, Jan Wieczorek, Michał Foralewski, Anna Cielak z domu Góral, Gertruda Przyborowska z domu Gołembiewska. **LIBER-**



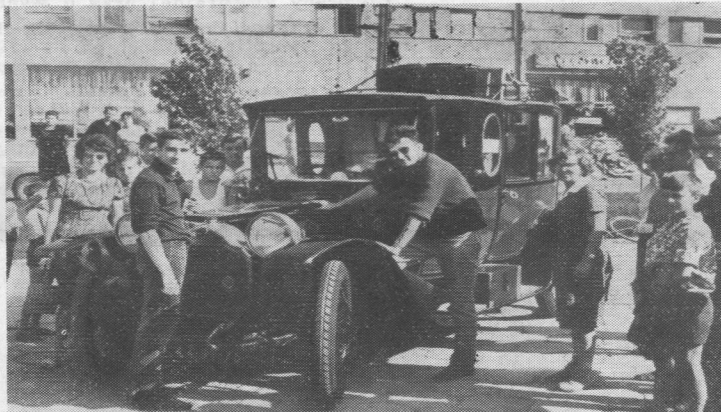
Pan Antoni Dziecioł jest studentem III roku Akademii Wychowania Fizycznego w Paryżu. Urodził się we Francji, w Autruche (Oise), gdzie mieszkają jego rodzice. Sportem interesuje się p. Antoni od dziecka. Gra w koszykówkę, w klubie Autruche. Podczas wakacji w Polsce odwiedził babcię, dwie ciotki, wujka i kuzynostwo w Poznańskim koło Leszna.

Tragiczny wypadek polskiego alpinisty na Mont Blanc

Tegoroczny sezon wspinaczek alpejskich jest szczególnie tragiczny. Wydarzyło się wiele śmiertelnych wypadków. Większość z nich spowodowały gwałtowne zmiany pogody. Przyczyną śmierci 4 alpinistów — 2 Francuzów i 2 Anglików na ścianie Mont Blanc była gwałtowna burza śnieżna połączona z wichurą. Na tej samej ścianie helikoptery uratowały 10 alpinistów, wśród których było trzech Japończyków. Inna grupa przeżyła tragiczne godziny podczas wspinaczki na Aiguille du Dru.

Tam podczas wejścia na grań Rochefort (3339) w masywie Mont Blanc poniósł śmierć Polak Maciej Pogorzelski, 24-letni student wydziału geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Był to jego pierwszy wyjazd w Alpy. Pogorzelski był członkiem polskiego Klubu Wysokogórskiego od sześciu lat. Należał do czołowych taterników. Wypadek zdarzył się na łatwym stosunkowo podejściu, kiedy Pogorzelski i jego kolega Ma-

ciej Popko nie byli ze sobą połączeni liną asekuracyjną. Wraz z nimi szło dwu Jugosłowian. Ciało młodego alpinisty zostało wysłane do jego rodzinnego miasta — Częstochowy.



Dwaj młodzi Paryżanie Olivier Turcat i Michel Aubert w drodze z Paryża do Moskwy (3000 km) zatrzymali się w Warszawie. Samochód studentów marki „Turcat” jest zabytkiem z roku 1908. Fabrykantem takich samochodów był dziadek jednego z młodych podróżników.

Droga Bonattiego powtórzona przez Polaków

O polskich alpinistach znów głośno na świecie. Czwórka: Jan Stryczyński (Poznań), Ryszard Szafirski (Sosnowiec), Ryszard Berberka (Zakopane) i Adam Zyzak (Katowice) pokonała najtrudniejszą ścianę (północną) Mont Cervin (4477 m) w Alpach Szwajcarskich.

Było to powtórzenie pierwszego przejścia dokonanego w 1965 r. przez Włocha Bonattiego, najsłynniejszego alpinistę naszych czasów, czyli drugie w ogóle w historii tej ściany.

Notatnik sportowca

KOLARSTWO

LALLAING. Janowski z SCF Lallaing przegrał na tamnie wyścig na trasie 90 km o nagrodę Castelain. Lewandowski z ESEG był 7.

PLYWANIE

BÉTHUNE. Brevet w zakresie pływania uzyskali: Swierkowski, Zakrzewski, Tarnowski, Maurice Gajewski, Kordziak.

PIŁKA NOŻNA

DIVION. Klub sportowy Olimpia, grupujący graczy polskiego pochodzenia, rozpoczął sezon w

Jak Andrzej Curuś - Bachleda swego syna Jędrka na mistrza Polski wychował

W ZAKOPANEM, któż nie zna góralskiej rodziny Curuś-Bachledów. Stary to ród i zasłużony. Andrzej Bachleda jest słynnym śpiewakiem operowym. Występuje wielokrotnie za granicą. Ostatnio powrócił z Kanady i USA, gdzie występował na koncertach wraz z Filharmonią Krakowską.

Zanim został wielkim artystą, był 3-krotnym narciarskim mistrzem Polski w konkurencjach alpejskich. Ożenił się z narciarską mistrzynią Polski — Marysią Wawrytko. Ród Wawrytków jest pod Tatrami również słynny jak Bachledów.

Kiedy 19 lat temu urodził się syn, rodzice postanowili, że wychowają go również na sportowca. Mały Jędrzek jeszcze nie umiał dobrze chodzić, a już jeździł na nartach. Sensacją było, kiedy w Zakopanem na zawodach dla dzieci, stawił się 2,5-letni Jędrus Bachleda.

Chłopiec uczył się w szkole doskonale. Również w narciarstwie robił wielkie postępy. Pierwsze zawody, pierwsze sukcesy, pierwsze nagrody — nie przewróciły Jędrkowi w głowie. Trenerem był

jego ojciec, który przed wojną mając 15 lat na mistrzostwach Polski wśród seniorów zajął szóste miejsce!

Mały Jędrzek dokonał sztuki nie lada. Mając 17 lat został mistrzem Polski w grupie seniorów! Miał startować na olimpiadzie w Innsbrucku (1964), ale przed wyjazdem do Austrii zламаł nogę. Jędrzek był najmłodszym polskim olimpijczykiem.

Jędrzek ma teraz 19 lat i już jest na 2 roku politechniki krakowskiej, na wydziale architektury. W tym roku ten wszechstronny narciarz zdobył 3 tytuły mistrza Polski (slalom, slalom-gigant, zjazd). Na mistrzostwach świata w Portillo reprezentował Polskę wraz ze swymi również mło-

dymi kolegami, Bronisławem Trzebunią i Jerzym Woyną.

Jędrzek spisał się znakomicie. W kombinacji alpejskiej zajął dziewiąte miejsce na świecie! Wyprzedził wielu sławnych i starszych od siebie mistrzów.

Znawcy przepowiadają Andrzejowi Bachledzie wielką karierę i to nie tylko sportową. Chłopiec interesuje się ogromnie muzyką. Gra pięknie na skrzypcach. W domu rodzinnym, pielęgnowane są również tradycje sportowe jak i góralskie. Andrzej Bachleda, Broniek Trzebunia i Jurek Woyna są synami polskich Tatr. Ich ojcowie byli wielokrotnymi reprezentantami Polski. Synowie poszli w ślady ojców!

Sport z Kraju

BRĄZOWY MEDAL DLA POLSKIEGO JEŹDZCA

* Na jeździeckich mistrzostwach Europy dla juniorów, rozegranych w Kopenhadze brązowy medal w konkursie skoków zdobył Krzysztof Ferenstein (Legia Warszawa). Parcours przebiegało bezbłędnie 8 koni, a wśród nich 2 polskie Cynadra Ferensteina i Kanon pod jeźdźcą Koziarowskim. Do decydującej rozgrywki zakwalifikowała się Cynadra. Mistrzem Europy został 14-letni Duńczyk Moeller.

BEZ MEDALI WRÓCILI KAJAKARZE

* Polscy kajakarze na VII mistrzostwach świata w Berlinie nie zdobyli cokolwiek ani jednego medalu, ale walczyli w finałowych wyścigach. Na dystansie 10 km, tylko 03 sekundy zabrakło Jerzemu Styp-Rykowskiemu do zdobycia brązowego medalu. Najwięcej medali zdobyli reprezentanci Związku Radzieckiego (13), Węgier (11) i Rumunii (8).

POLSKA ŁUCZNICZKA MISTRZYNIĄ W CZECHOSŁOWACJI

* Polskie łuczniczki doskonale spisały się na międzynarodowych mistrzostwach Cze-

chosłowacji. Polki na krótkich dystansach uzyskały wyniki lepsze od wielu mężczyzn! Mistrzynią została Irena Szydłowska, która ustanowiła rekord Polski uzyskując 2210 pkt. (poprzedni rekord 2177). Następne miejsca zajęły również Polki: Hanna Brzezińska 2158 pkt i Maria Mączyńska 2106 pkt. Zespołowo bezapelacyjnie zwyciężyły Polki, ustanawiając rekord krajowy 6474 pkt. (lepszy o 170 pkt. od poprzedniego rekordu).

MŁODZI HOKEIŚCI MYŚLA O OLIMPIADZIE

* Hokej na trawie cieszy się w Polsce największym powodzeniem w okręgu poznańskim. Tam zorganizowane imprezy międzynarodowe mają zawsze komplet widzów. Aby wychować odmłodzoną drużynę olimpijską Polski Związek zorganizował w Poznaniu turniej juniorów: Włoch, Czechosłowacji i NRD. W drużynie polskiej wielkim talentem okazał się bramkarz, rudowłosy Piotr Hyzy. Nie puścił on ani jednego gola! Polska wygrała turniej bez utraty punktów.

TYGODNIK POLSKI La Semaine Polonaise

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

Przedstawiciel w Belgii

OL. KUC
179, rue des Hamendes
LODELINSART
C.C.P. 66.69.45 Belgique

Przedstawiciel w Polsce

RUCH — Warszawa
ul. Wilcza 46

Cena prenumeraty:

rocznie: 17 F. - 210 Fr. B.
półrocznie: 10 F. - 120 Fr. B.
kwartalnie: 6 F. - 10 Fr. B.

Directeur de la Publication: M. DARCHE

IMPRIMERIE
Zakład Graficzny „Ruch”
Varsovie, ul. Ludna 4

● TELEWIZORY

● SPRZEDAŻ POLSKICH PŁYT

● ELEKTRYCZNY SPRZĘT

GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Jean STABLINSKI

kolarski mistrz świata w 1962 r.
mistrz Francji w latach 1960—1962 i 1963

7, Place du Marché aux Herbes (naprzeciw poczty głównej)
VALENCIENNES Tél. 46-59-14

CENY BEZKONKURENCYJNE!

Marki naszych aparatów: TELEFUNKEN — TEVEA — RADIOLA — PHILIPS i Inne



„Je suis né sans le vouloir à Radom, il y a hélas 75 ans de cela. J'ai commencé mon éducation à Kiev. Par miracle je suis sorti vivant d'une série de maladies, de guerres, de révolutions, de chambardements etc. Je m'efforce de supporter calmement toutes les réalisations qu'apporte le progrès. Je préfère vivre en dehors des villes. Je dessine de travers depuis mon enfance. J'ai commencé à écrire, cédant à de puissantes insistances, passée la quarantaine, mais je ne le fais qu'en marge de mes occupations habituelles. Je ne sais bien faire qu'une chose — préparer le thé et le „chachlik” de mouton à la broche. Je suis plutôt casanier et j'ai déjà heureusement oublié le martyr que subit le touriste à l'étranger...” — écrit Jerzy Zaruba dans ses mémoires pleins d'humour.

Zaruba est le plus célèbre des caricaturistes polonais. On lui doit aussi d'excellentes gravures et des décors de théâtre très réussis. De son métier principal, celui de caricaturiste, Zaruba dit lui-même „qu'il déforme souvent le caractère et provoque des conflits inutiles avec l'entourage et les autorités tout en fatiguant la vue et les nerfs...” Comme tout membre de la bohème artistique, il a évidemment séjourné à Paris. On en retrouve trace dans ses mémoires:

„Désespéré au dernier point, je m'arrêtais dans une ruelle, près d'un mur pour me transformer en une copie du célèbre Manneken Piss bruxellois... Soudain, une voix me parvint: Eh, dis, donc. Laisse-moi ton adresse exacte... Une tête de bon bourgeois parisien avait surgi à une fenêtre du deuxième étage. — Pourquoi faire? demandais-je en m'éloignant par précaution de quelques pas. — Je veux prendre ma revanche et faire pipi sous votre fenêtre...”

Honni soit qui mal y pense. Nous n'avons fait cette citation que pour montrer qu'on peut être „titi” à tout âge et qu'il n'y a pas loin des berges de la Seine à celles de la Vistule.

BON - VIVANT JERZY ZARUBA

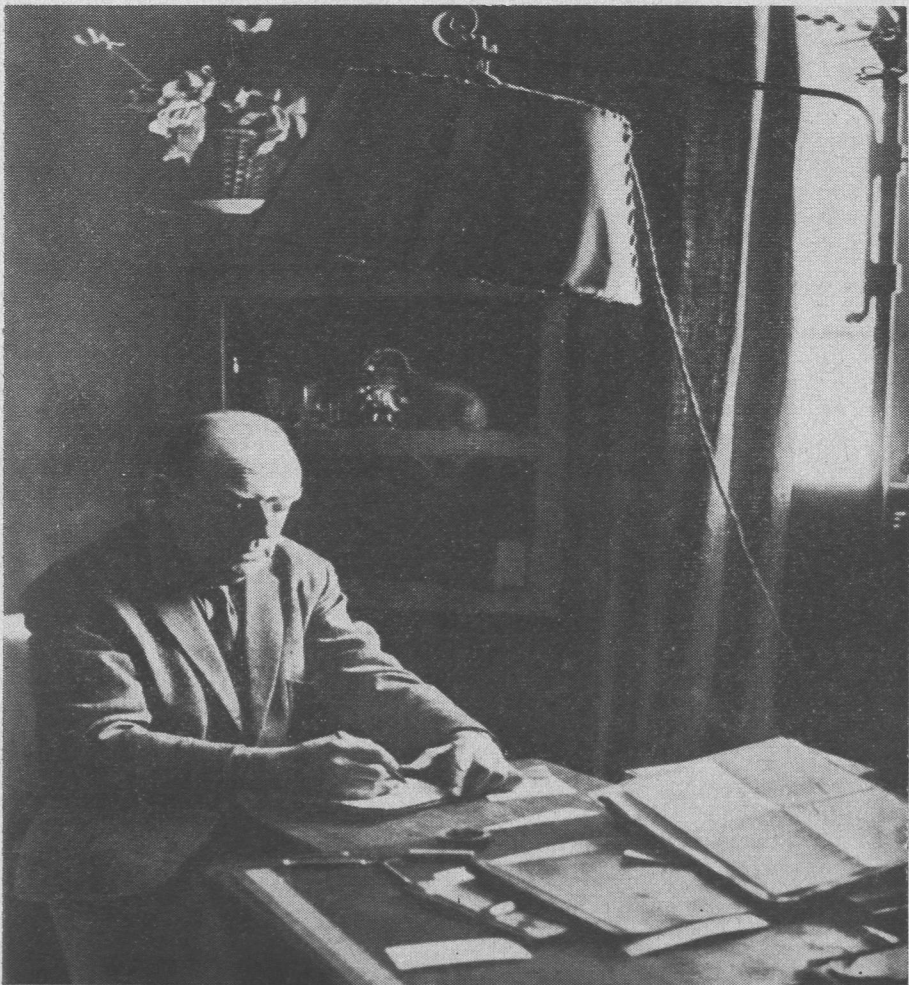


„Urodziłem się niechcący w Radomiu, niestety już 75 lat temu. Edukację zacząłem przypadkowo w Kijowie. Cudem udało mi się jakoś wyjść cało z szeregu chorób, wojen, rewolucji, przewrotów, okupacji itp. Z pogodą staram się znieść wszelkie osiągnięcia i postępy. Mieszkać wolę za miastem. Rysuję od dziecka nieco koślawo. Pisać zacząłem ulegając namowom do-

piero po czterdziestce. Robię to jednak marginesowo. Naprawdę dobrze umiem tylko parzyć herbatę i smażyć szaszłyki. Z usposobienia jestem raczej domatorem i cierpienia umęczonego turysty zagranicznego mam już na szczęście poza sobą”.

Tak przedstawia swój życiorys Jerzy Zaruba, ur. w 1891 r. znakomity grafik, karykaturzysta, scenograf i autor kukiełek w szopkach politycznych od paru dziesiątek lat. Szczegółów znaleźć można w jego książce pt. „Z pamiętników Bywalcza”, wydanej w Warszawie w 1958 r. O swoim zawodzie mówi, że „wypacza on często charakter i wywołuje niepożądane konflikt z otoczeniem i władzami. Wyczerpuje wzrok i nerwy”. Różnorodna twórczość Jerzego Zaruby znana i ceniona jest zarówno w kołach artystycznych, jak i w szerokim kręgu czytelników czasopism i książek Wiecha, które Zaruba ilustruje.

„Życie dało mi wiele — mówi o sobie — ale najbardziej jestem mu wdzięczny za dar najwspanialszy:



przyjaźń dwóch największych poetów naszych czasów — Tuwima i Gałczyńskiego.”

Z Gałczyńskim i jego rodziną zaprzyjaźnił się Zaruba bardzo serdecznie — przeżywając z nim dobre i złe chwile, w latach międzywojennych i pięćdziesiątych. Tuwim napisał i zadedykował Zarubie jeden ze swych wierszy pt. „Lament aniński” (Jerzy Zaruba mieszka pod Warszawą w malowniczej miejscowości Anin).

Podczas corocznych „Szopek” Zaruba poznał też innych znakomych poetów, Słonimskiego, Lechonia, z którym tworzył spontanicznie prawdziwie arcydzieła satyry politycznej, bardzo popularne w czasach przedwojennych.

Świetny humorysta i ilustrator należał do Warszawskiej Cyganerii, przyjaźniąc się z najwybitniejszymi artystami lat międzywojennych, m.in. ze znakomitym humorystą Fiszerem. „Kiedyś wychodząc nad ranem z jakiegoś kabaretu, poszliśmy całą paczką nad Wisłę — pisze Jerzy Zaruba... Znużony i zmęczony uprzytomniłem sobie ze szczególną jaskrawością pustkę i bezcelowość tego życia. Wtedy dojrzały właśnie moje ważne decyzje. Postanowiłem zmienić klimat i wkrótce wyjechałem na dalsze studia do Paryża”. Oto jedna ze scenek, jaką opisuje Zaruba z pobytu we Francji.

„Doprowadzony do ostateczności stanąłem w jakiejś uliczce pod murkiem i upodobniłem się do słynnej brukselskiej rzeźby Manneken Piss, rozmyślając jak w powiedzonku: człowieczek jam skromny, forsy mam mało, ale siusiu lubię pasjami. — Eh, dis dons! — usłyszałem nagle głos. — Niech mi pan poda swój dokładny adres. — Nade mną z okna drugiego piętra ukazała się głowa typowego paryskiego mieszczucha w czarnej mycce. — Po co Panu mój adres? — zapytałem odchodząc dla pewności o parę kroków. — Muszę się Panu zrewanżować i zrobić „pipi” przed pańskim oknem”.

Ostatnio z okazji 30-lecia popularnego tygodnika satyrycznego „Szpilki”, z którym Jerzy Zaruba stale współpracuje, obchodził uroczysty jubileusz m.in. autor „Pamiętnika Bywalcza”. Warto przypomnieć, że w roku 1954, gdy Zaruba miał już 40-letni staż satyryka i karykaturzysty, w Warszawie puszczono plotkę, że Zaruba obchodzi 40-lecie urodzin. Kawał ten był powodem powstania wspaniałego upominku — albumu pt. „Księga pamiątkowa”. Jej autorem i wykonawcą był popularny karykaturzysta polski Szymon Kobyliński. „Księga” to zbiór dawnych i obecnych oryginalnych rysunków

i autografów znakomych satyryków ołówka i pióra.

Książka Zaruby, jak i jego życie, pełna jest dowcipów, satyry, kpiarstwa i ironii. Opisując swoje środowiska artystyczne lat międzywojennych, w których rej wodził znakomity „bywalec” — humorysta i świetny narrator Franc Fiszer, Zaruba przypomina z repertuaru jego dowcipów, opowiadanie o pikolaku:

— Szkoda tego pikolaka — powiada kiedyś Franco. Taki miły chłopak.

— Dlaczego go żalujesz? zapytano.

— Bo musi tak młodo umierać.

— Co? Czy tak ciężko chory?

— Nie, jest zupełnie zdrow, ale czy widzieliście kiedy starego pikolaka?”

Słynne kabarety warszawskie, galeria postaci zapomnianych już ożywiają pod piórem i piórkiem Zaruby, a wśród nich i słynny „Dymek z papierosa” („Życie — domek z kart, miłość — głupi żart, Który tyle wart, że nie wart nawet papierosa”). Książkę swą Zaruba kończy dewizą, której hołduje całe życie, a i zaleca czytelnikom: „A więc mimo wszystko: Śmiejemy się — kto wie, czy świat potrwa trzy tygodnie. Jak to powiedział przed dwustu laty niejaki Beaumarchais”.

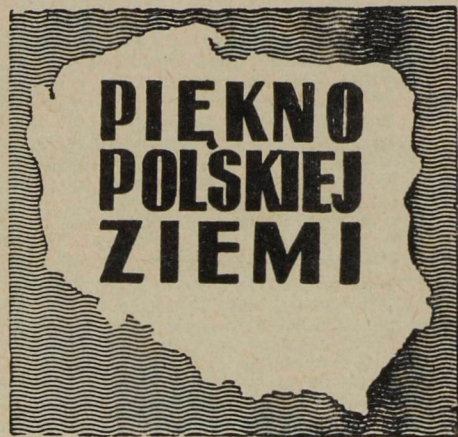
Henryk Grunwald znany satyryk warszawski napisał w jego „Księżce”: „Cechą... najbardziej charakterystyczną dla Zaruby jest jego krotocwilność, bezinteresowna frywolność i... tendencje do igraszek... W opowiadaniach, facecjach, niewinnych uwagach kryje się jego chichot z ludzi i ich spraw — ale z ludzi wynaturzonych, pyszałkowatych i ze spraw śmiesznych — nieludzkich. Przedstawia ludzi jako kilkucentymetrowych karłów, z odwłokami, brzuchami jak u żab — na małych nóżkach, z dużymi głowami jak u owadów.”

Zarubie jako pisarzowi napisał też utwór K. I. Gałczyński: „Jerzy Zaruba pisuje wyborne wiersze i komedie lacińską, co zwróciło na niego uwagę najwybitniejszych holenderskich filologów; że posiada liczne odznaczenia, a ostatnio został mianowany dodatkowo Astronomem Tytułarnym Obserwatorium Paryskiego, że jest właścicielem największej kolekcji szpad toledańskich, szmaragdów i korkociągów, że kropka”.

Za Antonim Marianowiczem dedykujemy znakomitemu humorystyce dwuwiersz:

„Najzdolniejszy z wszystkich Zarub długo żyj i mnóstwo zarób”.

Krystyna KOZŁOWSKA



MIEDZYDROJE, to znane nadmorskie kąpielisko położone na wyspie Wolin w woj. szczecińskim. Nazwa miasta wiąże się z położeniem osiedla i powstała w XVI w. Przez Międzyzdroje prowadziła wówczas główna droga między wybrzeżem Bałtyku a rozległymi bagnami Zalewu Szczecińskiego. Tutaj na rzecz książąt pomorskich pobierano opłatę od kupców przejeżdżających z towarami.

Jako miejsce wypoczynkowe, turystyczne i kąpielisko Międzyzdroje zaczęło robić karierę w 1830 r.

Zniszczone w czasie działań wojennych podczas II wojny dość szybko zaczęto odbudowywać. Piaszczysta plaża i piękne tereny spacerowe ściągają tu na wypoczynek oprócz polskich również francuskich, czeskich, skandynawskich i węgierskich turystów.

Rozrywki umysłowe

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13		
14	15	16	17	18	19	20		21	22	23	24	25	26	27
	28	29	30	31	32		33	34	35	36	●	37	38	
39	40	41	42	43	44		45	46	47	48	49	50	51	52
53		54		55	56	57	58	59		60	61		62	63
64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76		77
78		79	80	81	82	83	84	85	86	87	88		89	90
	91	92	93	94	95	96	97	98		99	100	101		102
103		104	105	106	107	108	109	110		111	112	113		114
115	116	117	118	119	120	121	●	122	123	124	125	126	127	128
129	130	131	132	133	134		135	136	137	138		139	140	141

SZYFROGRAM

Prosimy odgadnąć 22 wyrazy w kluczu pomocniczym o podanych niżej znaczeniach i podstawić je na miejsce liczb zamieszczonych obok, których ilość odpowiada ilości liter każdego z wyrazów. Następnie do kratek rysunku oznaczonych liczbami od 1 do 141 należy wpisać z klucza pomocniczego litery odpowiadające właściwym liczbom. Wpisane w ten sposób litery, czytane poziomymi wierszami, dadzą fragment książki Wojciecha Żukrowskiego „Dni kłęski”.

KLUCZ POMOCNICZY:

81 — 36 — 7 — 15 — 23 — 8 — 21 — 42 = jedna nie czyni wiosny,
 98 — 53 — 105 — 58 — 104 = parów, wadół, jar,
 127 — 60 — 129 — 141 — 131 — 26 — 95 = fotografia,
 93 — 80 — 84 — 75 — 65 — 74 = chłopiec na posyłki,
 50 — 2 — 87 — 4 — 29 — 30 — 139 = młodzik bez wąsów,
 62 — 16 — 54 — 27 — 125 — 51 — 83 — 13 = otchłań, bezdeń,
 126 — 18 — 66 — 44 — 94 — 86 = środek przeczyszczający,
 100 — 48 — 134 — 67 — 79 — 34 — 71 = karczulek,
 39 — 88 — 5 — 14 — 45 — 140 — 135 — 72 = żona, małżonka,
 31 — 11 — 40 — 43 — 33 — 41 — 70 = głęboka łyżka do nalewania zupy,
 28 — 97 — 78 — 111 — 132 — 10 — 77 = wynik odejmowania,
 137 — 136 — 108 — 117 — 46 = dąsy, kaprysy, fanaberie,

35 — 89 — 91 — 56 — 96 — 92 = praca, zatrudnienie, zajęcie,
 47 — 20 — 52 — 6 — 24 — 9 — 3 — 12 = bójka na pięści i kije,
 103 — 55 — 119 — 101 — 63 — 128 = zdobią bohaterską pierś,
 57 — 138 — 73 — 112 — 82 — 37 = szaleniec, obłąkaniec,
 19 — 38 — 1 — 32 — 85 — 69 — 76 = środek przeciwkaszlowy,
 102 — 133 — 25 — 99 — 114 — 106 = okres dziesięciu dni,
 130 — 68 — 123 — 64 — 118 = zawiadomienie o nadejściu przesyłki,
 17 — 90 — 22 — 61 — 59 — 121 — 49 = największy skarb człowieka,
 120 — 124 — 107 — 115 = człowiek bez znaczenia, nic,
 122 — 109 — 116 — 113 — 110 = kąpielisko morskie i uzdrowisko w południowej Francji.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłały błędne rozwiązania, zostaną rozlosowane **NAGRODY KSIĄŻKOWE**.

ROZWIĄZANIE SZYFROGRAMU z nr 33

„Człowiek jest dobry, mądry, spokojny, ufny w swój rozum, w myśl niepodległa, głodu, powietrza, ognia i wojny nie chce i stawia cegłę za cegłą...”

(Władysław Broniewski — POEZJE)

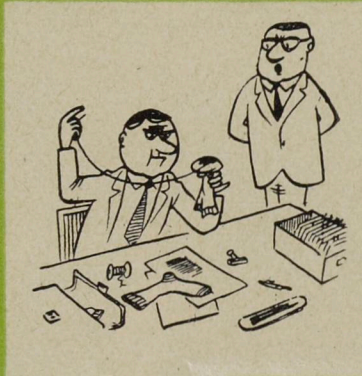
KLUCZ POMOCNICZY: Opole, łowiectwo, gołąb, głupiec, strój, mendel, wytrych, dąsy, młyn, imię, finisz, kojec, wyrok, śnieg, wąsy, jądło, peron, guz, wojna, gaza, uzda, wiec.



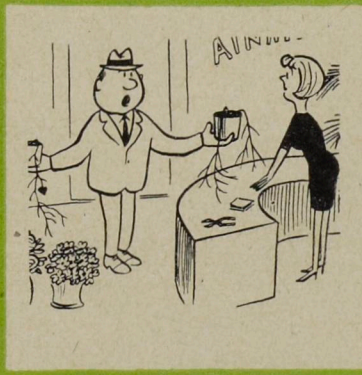
Veufs de paille



— Jak sobie radzę bez żony? Doskonale!
 — Mais je me passe très bien de ma femme...



— Kiedy wreszcie wraca pańska żona?!
 — Votre femme rentre-t-elle bientôt de vacances?



— Proszę o takie rośliny! Żona wraca z wakacji.
 — Deux pots de fleurs svp, ma femme rentre demain!